

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobieczy

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 9 LUTEGO 1929 ROKU

NR. 6

TREŚĆ NUMERU: Wołamy o sprawiedliwość — *Natalja Jastrzębska*. Zaniedbana placówka — *Wera Trobaczyńska*. O sądownictwie dla nieletnich — *L. Ron*. Poezje: „Resumé” — *Lena Sölm*. Obrączka — *Eva Szelburg*. Skłamanie szczęście (c. d.) — *M. H. Szpyrkówna*. Listy z nad Gangu — *Kamałini Shrinogamir*. Kobieta w świecie i w domu. Odżywianie a zdrowie — *Maja Morzkowska*. Nauka gospodarstwa domowego dla kobiet z inteligencji — *M. Karczewska*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Suknie popołudniowe — *Well*. Dodatek „Kultura Ciała”: Higiena a karnawał — *Dr. J. Mozol wska*. Dr. Świtalska o Zakopanem? Sporty zimowe — *Dr. J. Strzelecka*. Dobroczynny wpływ zimy — *Dr. A. Fruchtmann*. Odpowiedzi Redakcji. Dodatek powieściowy: „Oblubieńcy” (dok.) — *M. Benistauska*. „Głos krwi” — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

WOŁAMY O SPRAWIEDLIWOŚĆ

„Zeznają w dalszym ciągu nieszczęśliwe ofiary oskarżonych. Są to wymizerowani, schorowani chłopcy, na których pobyt w Studzieńcu położył swoje niezatarte piętno. Długie lata nieludzkich katuszy, ciężkiej pracy w niehigienicznych warunkach, o głodzie — musiały się odbić na ich zdrowiu, podkopując siły żywotne młodych organizmów i stwarzając podłoże dla wszystkich chorób”.

Taki „obrazek z sali sądowej”, podczas toczącego się obecnie procesu o znęcanie się nad dziećmi w zakładzie wychowawczo - poprawczym w Studzieńcu, czytamy w pismach warszawskich.

Ale to jeszcze nie wszystko.

„Bito nas w dzień i w nocy. Przywiązywano drutami do łóżek. polewano zimną wodą, robono w nocy alarm i bito tak okrutnie, że mieliśmy całe ciało zbolące” — zeznają wychowawcy.

Ale to jeszcze nie wszystko.

U odwiezionego do szpitala, po zwolnieniu z zakładu, „wychowanka” Studzieńca stwierdza lekarz rany na całym ciele, ropiejące, zadane specjalnie w celu wywołania dotkliwego bólu”.

Jeszcze nie ostatek.

Stolarz, biorący miarę na trumnę dla zmarłego w zakładzie „wychowanka”, widzi na czole, twarzy i piersiach nieboszczyka liczne, sine znaki.

Zresztą stwierdzono dowodami, że wskutek znęcania się w zakładzie i ciężkich uszkodzeń fizycznych ciała zmarło trzech chłopców, „wychowywanych” w Studzieńcu.

Co to jest?

Obraz z piekła bolszewickiego? Września w poprawnym wydaniu?!

Nie, to zakład wychowawczy o kilkanaście kilometrów od stolicy, w okolicy ludnej, — zakład, który oficjalnie zostawał pod opieką władz.

Wydaje się to nie do wiary, dusza się wzdryga, myśl cofa się z lękiem przed temi potwornościami, przed tem rozpaczliwym porównaniem, że cały świat wzywaliśmy na świadka hańbiących ludzkość nadżyć, gdy Niemcy katowali dzieci polskie, dzieci, uważane przez nich za wrogię, dzieci, bądź co bądź im obce, które chcieli zniszczyć, — a dziś my sami katujemy dzieci... własne, które powinniśmy dla przyszłości naszej wychować!

Zakład wychowawczo - poprawczy w odrodzonej Polsce. Nie pod zwierzchnictwem narzuconej, obcej władzy, nie w okupacji. Nie, w normalnych, dobrych warunkach, w których mogą dokonać swobodnej ingerencji wszystkie władze — sądowe, oświatowe, sanitarne, prasa, opinia. Wszyscy mogą zbadać, stwierdzić i wypowiedzieć się.

W takich warunkach ten zakład wychowawczo - poprawczy, którego zadaniem było właśnie prostowanie i naprawa spaczonych młodych charakterów, staje się jakąś świątynią tortur chińskich, gdzie bija w pięty; dantejskim przybytkiem, na którego wejściu bez poetyckiej emfazy można było położyć napis: „Żegnaj się z nadzieją!” Bo można tam było tylko umrzeć, lub żyć wśród znęcania się najokrutniejszego, jakie wymyślić może sadyzm zwyrodniałych osobników.

Ten przedziwny zakład wychowawczo poprawczy siał zniszczenie w duszach i organizmach wychowywanych przez siebie dzieci; ale spełniał on jeszcze inną „uboczną” pracę.

Marnował wszystkie wieloletnie wysiłki nauki i organizacji sądów dla nieletnich, wysiłki, w które szereg ludzi włożył tyle trudów. Bo chyba nikt nie zaprzeczy, że gorszego wpływu na nieletnich przestępców być już nie mogło, że gdyby, oddani do normalnego więzienia, wyszli zeń zdeprawowani towarzystwem notorycznych złodziei, to jednak nie przeszliby takiej szkoły zwierzęcego okrucieństwa, takiego straszliwego moralnego rozkładu, zabijającego wszystkie lepsze pierwiastki duszy samym faktem, że pochodziło nie od kompanów-złodziejasków—mętów społecznych,—ale od władz, wychowawców i opiekunów!

Tak, więzienie byłoby stokroć lepsze dla tych nieszczęsnych, bo najgorszy złoczyńca ma nieraz jeszcze jakieś pierwiastki serca, litości, bodaj przysłowiowego „złodziejskiego“ honoru i solidarności koleżeńskiej, a „władze“ Studzieńca wypleniały nawet te uczucia, wprowadzając szpiegowanie chłopców jednych przez drugich, osławioną instytucję „pilnowaczy“ — chłopców-szpiegów i katów jednych nad drugimi.

To też trudno się dziwić, że sędziwy, otoczony powszechnym szacunkiem mecenas Korenfeld, który życie poświęcił pracy nad nieletnimi przestępcami i doprowadzeniu do skutku sądów dla nieletnich — zemdlął podczas tego osławionego „przewodu sądowego“. Zapewne, że z wrażeń fizycznego,—bo można było, słuchając tych okropności, dostać zawrotu głowy,—ale napewno i z moralnego cierpienia: w co obrócono jego długoletnie trudy!

Dlaczego się tak stało? jak do tej, niebywałej w historii naszego wymiaru sprawiedliwości i opieki nad młodocianymi, sprawy dojsć mogli?

Zwyrodniałe osobniki o sadystycznych skłonnościach trafiają się w każdym społeczeństwie; ale jakie były warunki, które pozwoliły im dojsć do takiej władzy, opanować w ten sposób instytucję i tak długo wykonywać w niej swe nieludzkie praktyki?!

Doświadczenie życiowe i bezstronna ocena obecnych warunków prawnych, obyczajowych i społecznych może dałyby nam na to odpowiedź.

Postarajmy się tylko spojrzeć na tę sprawę z głęboką uwagą i bezstronnością.

Socjologia współczesna, pojęta teoretycznie i praktycznie, wykazuje przede wszystkim niezmierną złożoność obecnego mechanizmu życiowego, w którym szereg części, doskonale określonych i dobranych, pracować musi sprawnie, precyzyjnie, bez najmniejszej ilościowej czy jakościowej usterki,—wtedy dopiero składa się właściwa całość.

Biorąc plastyczny, obrazowy przykład, przedstawia się to tak, że gdy, np., w średniowieczu król był jednocześnie najwyższym sędzią, rozstrzygającym od ręki sprawy przestępców, nakładającym kary i wyrokującym zadośćuczynienia,—to później stworzyć musiano oddzielny aparat sądowy, oparty o długoletnie

wyniki specjalnej wiedzy i doświadczenia, liczebnie ogromny.

A w czasach jeszcze bliższych, ten nawet ulepszony aparat wykazywać zaczął liczne braki, i gdy, działając w ramach starej rutyny, odstawać zaczął od życia, nie umiając wnikać w jego zmienione warunki i zmienioną psychikę ludzką,—musiano doń znowu wprowadzić zmiany, znowu go sprecyzować. Tak się stało we Francji, gdy po słynnym procesie, który dał Wiktorowi Hugo podłoże do „Nędzników“, po skazaniu człowieka na galery za kradzież z głodu bochenka chleba, rozpoczęła się akcja na rzecz „prawa o przebaczeniu“—zawieszenia kary i zaraz po niej druga akcja o specjalne sądy dla nieletnich.

Ale życie idzie obecnie w szybkim tempie i nawet rzecz tak dawniej skostniała i nieruchoma, jak prawo, obecnie musi podążać za życiem, wytwarzając ciągle nowe potrzeby.

I już na tle tych nowych potrzeb, nowej, zmieniającej się psychiki ludzkiej i nawet nowych ustaw, wyłania się i umacnia coraz więcej zasada, że wymiar sprawiedliwości i jej wykonanie nie mogą być załatwiane jednostronnie, że i tu, jak w każdej innej dziedzinie życia ludzkiego, nie może być usunięta od ingerencji, działalności i decyzji jedna połowa ludzkości.

Do nowoczesnego sądownictwa, do ulepszonego, humanitarnego więziennictwa ze wszelkimi rozgałęzieniami zakładów wychowawczych, poprawczych itp. instytucyj społecznych—wejść muszą kobiety.

I to wejść z pełnią praw. Na wszystkie stanowiska, zarówno sędziów jak i wyższych, kierowniczych urzędników w ministerstwie sprawiedliwości i inspekcji więziennej.

Tymczasem niewytłumaczony, niezrozumiały opór władz ministerstwa sprawiedliwości nie dopuszcza do tego.

Najwyższe prawo—konstytucja Rzeczypospolitej—nie wprowadza żadnych dla kobiet ograniczeń, ale kobiety nie są sędziami, nawet w sądach dla nieletnich; niema ich również na stanowiskach kierowniczych, ani w ministerstwie sprawiedliwości, ani w inspekcji więzień, ani wogóle na żadnym wyższym, posiadającym realne wpływy oraz moc czynu i decyzji, urzędzie.

Ano i zebraliśmy właśnie owoce tego systemu. Bo chyba nikt nie może wątpić, że gdyby pomiędzy tą ogromną liczbą ludzi, zaopatrzonych na moc urzędu-władzy prawem wglądania w sprawy Studzieńca, były kobiety,—obecnie zachodzące fakty stałyby się nie mogły.

Subtelniejsze, wrażliwsze, bardziej intuicyjne; mniej zamknięte w formułkach i biurokracji, impulsywne i ciekawe,—byłyby kobiety przede wszystkim o wiele dawniej dowiedziały się o takich nadużyciach, popełnianych w zakresie ich władzy, w zasięgu ich urzędowania.

A dowiedziawszy się, nie dałyby się uspić teorjami, nie zagrzebałyby sprawy w stosie przewlekłych aktów i korespondencji (o Studzieńcu chodziły przecież wersje od bardzo długiego czasu), tylko pospieszyłyby z pomocą katowanym dzieciom.

Dlaczego odmawia się im tej władzy? Dlaczego, na każdym kroku—czy to będą sądy dla nieletnich, czy sądy pracy, czy inspekcja więzień—odsuwa się kobietę od władzy w zakresie wymiaru i wykonania sprawiedliwości?

A teraz—jeszcze jedno.

Na myśl o zwyrodniałych osobnikach wstrząsa się sumienie każdego człowieka, sumienie społeczne domaga się surowej kary, któraby raz nazawsze unieszkodliwiła hańbiących Polskę sadyistów, odstraszyła swym przykładem tych, którzy może gdzieś jeszcze „działają“ w podobnych warunkach, lub działałoby w przyszłości, i dała zadośćuczynienie pogwałconym uczuciom ludzkości.

A jaki wymiar sprawiedliwości grozi tym katom dzieci?

Prawie wszyscy są oskarżeni z artykułu, przewidującego *trzy miesiące, wyraźnie trzy miesiące więzienia!*

Jaki prokurator formułował ten akt oskarżenia?

I czy takiej tylko kary na ludzi, łamiących kości powierzonym im w opiekę dzieciom, zażądałaby kobieta?

I dlaczego w składzie Sądu Najwyższego, który sprawował zwierzchni nadzór nad zakładem w Studzieńcu, nie było również miejsca dla kobiet?

Dosyć mamy już tego. Czas z tem skończyć!

Haniebny proces Studzieńca, okrywający nas wstydem wśród swoich i obcych, musi stać się przełomem w tej sprawie.

Wzywamy przedewszystkiem posłanki do wszczęcia na terenie sejmu energicznej akcji o dopuszczenie kobiet do sądownictwa, ze specjalnem uwzględnieniem sądów dla nieletnich i spraw kobiet-przestępczyń, do wyższych urzędów w ministerstwie sprawiedliwości, zarówno jak i o mianowanie kobiet na wyższe stanowiska w więziennictwie i inspekcji zakładów poprawczych.

Akcję tę w sejmie poprzeć powinien każdy poseł, a w społeczeństwie—zsolidaryzować się z nią każdy, ceniący swą nazwę i godność człowieka.

Natalja Jastrzębska.



WERA TROPACZYŃSKA

ZANIEDBANA PLACÓWKA

Zdarzyło się raz, że przyjechawszy któreś środy na wieczorowe kursy do odległej o 2 km. szkoły w Wólce, zastałam w lokalu szkolnym nieznanego mi, nad papierami jakimś pochylonego, jegomościa. Po bliższych wyjaśnieniach okazało się, że jest to właściciel wędrownego kina, mający od wyższych, niż moja, instancyj pozwolenie na wyświetlanie filmów w lokalach szkolnych. Oczywiście, wieczorową naukę na ten raz odłożyłam, a przybyłych słuchaczy zatrzymałam na „przedstawienie”. Z rozmowy z właścicielem kina dowiedziałam się, że jest on zredukowanym nauczycielem (z zawodu mechanikiem), od 3-ich lat wędrującym po wschodnich powiatach. Rodziny w Polsce nie ma, bo została za kordonem; zarobek aparat kinowy daje niezły; aprobaty szkolnych i administracyjnych władz sprzyja owemu zarobkowi; jednakowoż ma zamiar aparat swój odprzedać, bo życie „brodiagi“ już mu „nadojeło”. Filmowych wstęp ma kilka, wskutek czego dzisiejszy program będzie nader urozmaicony. Zobaczę zresztą za godzinę. Biletu dla dorosłych po 50 gr., dla dzieci—30 gr.

Zaczęła się niedługo schodzić młódź wioskowa. Pozasłaniające okna, ekran na frontowej ścianie, tajemnicza maszyna w drzwiach kancelarii — całość: niewzyczajne, odświeżające wrażenie czegoś nowego.

Zagrała zamówiona poprzednio harmonja; warokot aparatu — wykrzykniki dzieci — wstrzemięzliwe uwagi dorosłych i nad tem wszystkim górujący głos „pana“, objaśniającego okropną polszczyzną treść obrazów. A te obrazy?! — stare, zniszczone i co do wartości etycznej i estetycznej—niżej krytyki! Jakoweś „Romanse szefa z telefonistką“, „Skradzione dziecko, czyli zemsta indjanina“, „Biuro stręczeń małżeńskich“ i inne, tym podobne cudenka. Naiwność głupoty ich treści łagodziła oburzone moje sumienie nauczycielki-wychowawczynie. I nietylko owa naiwność. Zainteresowanie się młodzieży nietylko treścią, ile „cudownością maszyny“, głębokie zdumienie i podziw dla pomysłowości „ludzi miastowych“—odwróciło oburzoną myśl od bezpłodnego zżymania się, a kazało szukać wyjścia z tej isticznej kinowej sytuacji, drogą racjonalnego — być może kiedyś — zużytko-

wania walorów wędrownych kin — dla wsi. Jakież bo bajeczne zastosowanie mogłoby mieć takie kino! Jakie korzyści kulturalne mogłoby wnieść w ciemny tłum analfabetów, Ignących jednostkowo, czy zbiorowo do refleksów cywilizacji, ukazywanych na ekranie!

Najelementarniejsze czynności codzienne przeciętnego kulturalnego człowieka — prześwietlone zasadami higieny, ukazane tu, w białoruskiej wsi, na prowizorycznym ekranie, więcej dałyby korzyści tym brudnym, nigdy prawie nie umyтым („raz w roku około Wielkiej Nocy“) białorusom, niżeli wszelkie romanse-telefonistek, zabawne przygody cyrkówek i inne indyjskie zemsty. Obraz, najwyczejniejszy obraz życia współczesnego nam, zachodniego wieśniaka, wnętrze chaty zachodnio-polskiej, czystość w gospodarstwie krakowskiego chłopca w zestawieniu ze stanem rzeczy wsi białoruskiej — więcej pierwiastków kultury i cywilizacji wniosłyby do owej wsi, niżeli najbardziej skomplikowane kolizje serca zakochanej telefonistki, czy skoki cyrkowego błazna. Aż wstyd się przyznać, że takie niedopatrzenie jednak istnieje! I jaką odpowiedzialność ponoszą filmowe wytwórnie, odprzedające śmiecie swoich magazynów na prowincję, dla wsi! Karmi się tę prowincję odpadkami gustu i smaku publiczności miejskiej. Daje się jej to, co w mieście już dawno straciło prawo obywatelstwa, na czem nawet najmniej wymagająca publika przedmieść poznałaby się odrazu i co wygwizdałaby, w zapale żadnych choćby sensacyjnych wartości, nowoczesnych wymagań.

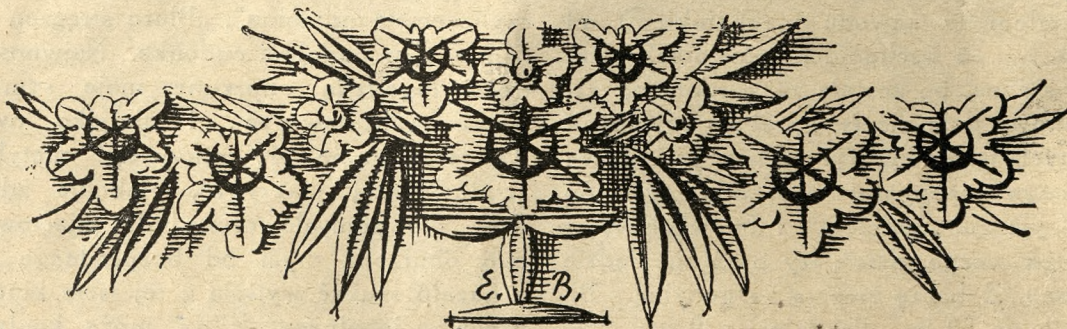
Na prowincji „wezmą“! Jakżeby nie wzięli? Gdy chodzi o zarobek, o wyciśnięcie grosza „na życie“ choćby z wytartej filmowej wstęgi, napewno nie zawaha się żaden z wędrownych, bezdomnych ludzi; weźmie i będzie ciemnym masom chłopskim ukazywał skondensowany brud ludzkich dusz, nierealne kolizje ich poczynań, naciągnięte, naiwne głupie dowcipy, nie dające w konkluzji nic, a wyrabiające tylko chorobliwą wyobraźnię, niezdrową atmosferę sztucznej przyjemności zmysłów, a nierzadko, wśród głębiej myślących (bo są i tacy) zniechęcenie i pogardliwe wzruszenie ramion.

Aż boli fizycznie niemal to zupełne niewiejrzenie w sprawy, mające bądź co bądź pierwszorzędną wartość! Jestem pewna, że gdyby znów zjawił się ów

wędrownik z aparatem, wszystka moja głębiej myśląca młodzież zignorowałaby „przedstawienie“ bo „co to tam faramuszkę jakieś — w książce lepsze się znajdują“. Dosłownie powtórzona — uwaga. I racja. A w rezultacie z tego rodzaju osądzenia wyniknie pewnik, że znów ze świata szerokiego idąca kultura będzie miała nową przeszkodę na drodze, i miast znaleźć umysły już przygotowane do swych wartości, znajdzie je zniechęcone i odporne, nie przez konserwatyzm, ale przez instynkt samozachowawczy chłopskiej, twardej duszy. To jeden odłam — szlachetniejszy z gruntu. Jest jednak inny, bardziej pochopny do przyjmowania krzywizn ludzkiej myśli, bezmyślności raczej. Ten napewno, gdy się sposobność nadarzy, nieraz odwiedzi kinową spelunkę, parodję dziesiątej muzy. Pełnym tchem chłonać będzie miazmat głupoty i zła i w zachwycie dla jakowegoś występku nieraz powie z uznaniem: „bacz, kakij!“.

Smutne refleksje. Smutne konkluzje. Na szczęście (o ironjo!), mało jest owych kin wędrownych i dziś jeszcze niewielki one wpływ na wiejską ludność wywierają. Trzeba jednak starać się, aby było inaczej. Doczemy do społecznej maszyny jedno nowe kółko kultury. Użyjmy do jej szerzenia właśnie owych kin wędrownych, które jeszcze mają najmniej cikliwego, nowinkowego charakteru, którego nasz chłop tak nie lubi. Tylko niech programy sensów będą planowo obmyślane. Trzeba stworzyć kilka nowych, a dobrych filmów, takich, które nie mało myśli, trudu i pracy potrzebują. Filmów dla wsi, nie tylko wschodnio-kresowej, ale i całej Polski. Muszą one być inne, niż filmy, mające duży popyt w mieście; trzeba zużyć dla nich więcej dobrej woli, a i coś niecoś poświęcenia ofiarować.

Trzeba przede wszystkim poznać dokładnie środowisko, dla którego obrazy będą przeznaczone. Zając się tem powinny instytucje społeczne i kulturalne, zarówno na prowincji, jak w stolicy, dzieląc między siebie prace przygotowawcze. Wciągnąć trzeba do współpracy nauczycielstwo, odwołać się do obywatelskich uczuć wytwórców kinowych, oraz uzyskać pomoc czynników rządowych. Na zasadzie takiej zbiorowej pracy powstać może propaganda kulturalno-oświatowa ogromnej doniosłości. Stworzyć ją jest naszym obowiązkiem.



O SĄDOWNICTWIE DLA NIELETNICH

(dokończenie)

W tem niezmiernie odpowiedzialnem zadaniu ogromne usługi oddać mogą kobiety, którym z urzędu przypada rola opiekunek skazanych-dziewcząt. W tym kierunku początek jest już zrobiony. Istnieją opiekunki, pracujące z całym poświęceniem. Niektóre z nich tworzą u siebie komplety nauczania dla dziewcząt; jedna z nich przyjęła do siebie na cały dzień dziewczynkę, której matka, wychodząc do pracy, zamykała dziecko na klucz w mieszkaniu na 10 godzin! Ale i w opiece nad chłopcami, zwłaszcza młodszymi, udział kobiet jest niezbędny. Wnoszą one do tych obowiązków instynkt macierzyński, większą subtelność uczuć, dobroć i łatwiej tym sposobem zdobywają zaufanie i oddziaływują w kierunku podniesienia moralności małych przestępców. Z tych smych względów byłoby wskazane mianowanie kobiet na stanowisko sędziów w sądach dla nieletnich.

Opiekunowie sądowi, którzy zasadniczo pełnią swe czynności honorowo, zorganizowani są w „Koło opiekunów” przy sądzie dla nieletnich, które to Koło przynajmniej raz na miesiąc odbywa swe posiedzenia. Opiekunowie sądowi w Warszawie—jak podaje w swem sprawozdaniu sędzia A. Komorowski,—od marca 1925 utworzyli Koło, złożone z 43 osób obojga płci, w tej liczbie 9 opiekunów-studentów z seminarjum prawa karnego Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1-go czerwca 1927 z wymienionej liczby opiekunów, pracujących honorowo, sędzia zamianował 4 opiekunów płatnych, z gażą po 200 zł. miesięcznie z funduszków, asygnowanych przez Ministerstwo Sprawiedliwości. Poszczególne opiekunowie mieli w opiece od jednego do 46 pupilów. W r. 1925 było pod opieką 90 pupilów obojga płci; w 1926 — 190 i w r. 1927 — 362; na 1-go stycznia liczba pupilów wskutek zwolnienia z pod opieki i wygaśnięcia terminu zawieszenia kary, zmniejszyła się do 249. Pod opieką pozostawali pupile, którzy zetknęli się z sądem dla nieletnich w ciągu 1924 — 1927 r. Koło pod przewodnictwem sędziego odbyło 19 posiedzeń, na których rozważane były sprawy opieki i pomocy materialnej i moralnej pupilom, oraz ich rodzicom i opiekunom. Na kupno ubrań, obuwia, bielizny, pościeli, opłacenie wpisów szkolnych, książek, zeszytów, doraźną pomoc na przeżycie, bilety kolejowe dla wyjeżdżających do rodziny lub do pracy—wydano za ubiegłe trzy lata 12.694 zł. z funduszków, przeważnie asygnowanych na ten cel przez Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej. Niezależnie od 135 pupilów, wysłanych przez sędziego do zakładów wychowawczo-poprawczych, opieka sądowa umieściła 28 dziewcząt i 20 chłopców w zakładach wychowawczych prywatnych; 20 sierot, chłopców w utrzymy-

waniem przez Magistrat miasta Warszawy Pogotowiu Opiekunów, oraz 15 dziewcząt prostytutek młodocianych w Zakładzie Sióstr Magdalenek. 248 chłopców przesłano do Państwowego Urzędu Pośrednictwa Pracy dla młodocianych; wszyscy ci chłopcy pracę otrzymali i pracują uczciwie, za wyjątkiem 2-ch, co do których wpłynęły zażalenia na niesumienność. Rozdawano tygodniowo po 150 biletów wolnego wejścia do kinematografu miejskiego, 400 biletów bezpłatnych do kąpieliska miejskiego. Do poradni pedologicznej przesłano 196 chłopców i dziewcząt. W specjalnym pokoju przy sądzie dla nieletnich opiekunowie płatni dyżurują kolejno codziennie, od 9 rano do 3 popołudniu, celem udzielania porad rodzicom i nieletnim w najrozmaitszych sprawach. Poszczególni opiekunowie wraz z delegowanym agentem policyjnym co miesiąc przeprowadzają lustrację kin, lokali podejrzanych oraz nor złodziejskich, celem usuwania nieletnich i zaopiekowania się nimi. Z pośród członków Koła wyłoniona została komisja prawnicza dla podjęcia pracy w kierunku nadania opiekunom sądowym prawa zastępstwa nieletnich pupilów-sierot w sądach, w sprawach cywilnych. 24 grudnia 1927 roku w sali sądu urządzono choinkę dla pupilów i rozdano 100 paczek z bułkami, rybą, łakociami oraz po 3—4 książki treści umoralniającej. Tak się przedstawia działalność Warszawskiego Koła Opiekunów Sądowych.

Dla dopełnienia całości, omówimy jeszcze pokrótce działalność poradni pedologicznej. Otóż celem poradni jest możliwie szczegółowe zbadanie dziecka, zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym, ustalenie jego poziomu inteligencji, zadzierzgnięcia kontaktu z jego środowiskiem i znalezienie dlań jak najodpowiedniejszego modus-vivendi, czy to przez umieszczenie w odpowiedniej szkole lub zakładzie wychowawczym, czy też przez bezpośredni wpływ na rodziców, wychowawców i samego pacjenta. Sąd pokoju dla nieletnich kieruje od 1926 roku do Poradni Pedologicznej swych delikwentów na ekspertyzy, w których jest uwzględniany stan fizyczny, stan umysłowy, a więc wskaźnik inteligencji, orientacji w czynach, poczytalność, właściwość usposobienia i stopień rozwoju moralnego, oraz wskazówki lekarsko-wychowawcze.—Materiał nasz—mówi w swem sprawozdaniu pani Zofja Rosenblum, kierowniczka zakładu—rekrutuje się tylko z osobników, czy to oddanych pod sąd z powodu pewnych zatargów z prawem, czy to dzieci i młodzieńców, których rodzice chcieli za pośrednictwem sędziego umieścić w zakładzie poprawczym, nie mogąc się uporać z ich niesfornością. Zebrany w ciągu blisko dwuletniego kontaktu z sądem materiał obej-

muje 155 chłopców i 40 dziewcząt. Tablica wieku wykazuje, że wśród nich przestępczość wzrasta się od 12 r. życia, dochodząc do punktu kulminacyjnego między 14, a 16 r. (co odpowiada wiekowi przejściowemu). Pacjenci Poradni pochodzili przeważnie ze sfer robotniczych i rzemieślniczych; zaledwo w 17 przypadkach były to dzieci inteligentów zawodowych. W kilkunastu przypadkach rodzice byli bezrobotni i utrzymanie domu spoczywało na barkach dzieci. W 87 przypadkach na 195 miano do czynienia z sierotami. Na ogół stwierdzono u podsądnych przebywanie w fatalnych warunkach mieszkaniowych. Zaledwie 9 dzieci mieszkało w pokoju własnym z rodzicami; 137 dusi się w przeludnionych izbach, sypia pokotem byle gdzie i byle jak; ledwo 41 zaznało rozkoszy własnego łóżka.

Dane powyższe uchylają wymownie rąbek egzystencji młodych podsądnych, pozwalają wywnioskować, z jakiego środowiska pochodzą i z jakimi wpływami stykają się na każdym kroku. Dwunastoletnia recydywistka - złodziejka tak opowiada o swych warunkach mieszkaniowych: — Mieszka tatuś, i macocha i mój brat, i przyjaciel tatusia, i przyjaciółka mamusi.

— A ile łóżek? — Dwa.

Z wywiadów osobistych wynika, że alkoholizm można było stwierdzić w każdym prawie wypadku; 72 razy ojciec był nałogowym pijakiem. Alkoholizm bezpośredni dziecka udało się wykryć kilkanaście razy, ale cyfra ta jest w rzeczywistości prawdopodobnie znacznie wyższa. Obarczenie gruźlicze stwierdzono w 38 wypadkach, kiłowe — w 10, nerwowe — w 22.

Co się tyczy wykroczeń nieletnich przestępców, to przeważnie nie wychodzą one poza ramy żebractwa, włóczęgostwa, kradzieży, zaś u dziewcząt — prostytucji. Na 195 dokonanych ekspertyz — w 73 wypadkach postawiono dobre rokowania; dotyczyło ono osobników, co do których można było zaopiniować, że pobudką ich wykroczenia były czy to złe wpływy otoczenia, czy też konflikty psychiczne, zależne od przyczyn, pochodzących zewnątrz.

Pacjenci Poradni zostali usunięci ze swego środowiska, oddani pod dozór opiekunów sądowych, część umieszczono w zakładach poprawczych. Od dwóch lat nie zбочyli oni z wykreślonej im drogi, nie dopuścili się żadnego zbrodnego czynu.

Pierwszy kontakt z sądem był wstrząsem dostatecznie silnym, aby wyrzucić na nich głęboki, zba wienny wpływ. W Poradni Pedologicznej współpraca z Sądem dla nieletnich nie ograniczała się jednak na wydaniu orzeczenia. W wielu przypadkach, gdzie bądź to na skutek stwierdzonej konstytucji psychopatycznej, bądź z innych powodów, — uważano umieszczenie podsądnego w zakładzie wychowawczo - poprawczym za przeciwwskazane, — starano się, w braku odpowiednich zakładów leczniczo - wychowawczych, przeprowadzić leczenie ambulatoryjne. Stosowano w tym celu wszelkie sposoby oddziaływania na dziecko, dając do jaknajdokładniejszego indywidualizowania, do skierowania zainteresowania i energii młodego podsądnego na właściwe tory i wzbudzenia w nim wiary w siebie.



LENA SÖLM

RESUMÉ

*Jest tylko jedna prawda — oczu patrzących zdaleka,
i jedno tylko szczęście — to, które mogło się zdarzyć...
(W bajce królewna unosi senne, znużone powieki,
by zamiast smoka, rycerza zobaczyć przy sobie na straży).*

*Jest tylko jedna radość i jedno tylko wytchnienie —
— myśl o dalekiej podróży, cała czerwona i złota,
kłon rudowłosy, wśród nagich gałęzi szarej jesieni.
i jedno słówko żalotne, małeńkie i śmieszne: tęsknota.*

*Jest jedna tylko miłość, którą się zawsze pamięta —
serce raz jeden spłoszone, serce raz jeden nieśmiałe,
miłość najmłodsza, jedyna, pierwsza, naiwna i święta
i człowiek, którego naprawdę — chyba się nie kochało.*

EWA SZELBURG

OBRĄCZKA

(fragment z powieści „Przed srebrnym mikrofonem“)

1)

Był pogodny dzień zimowy, bez wiatru, pełen iskrzystego słońca.

Suchy mróz, rozpylony w powietrzu, przenikał do krwi i zdrowo podniecał. Po całym mieście dzwoniły dzwonki u ruchliwych sanek i grały ostre głosy chłopiące.

Miejski park stał cały w białych, chrupkich śniegach.

Każdy z dorosłych, nim wszedł, stał chwilę przed żelaznymi sztachetami z nagłym zakłopotaniem: ogród jest dziś poprostu zabawką, wydmuchniętą z białego cukru, i trzeba być dzieckiem, aby tu wejść śmiało, bez zażenowania.

To też już w biało upudrowanej bramie dorosli, chcąc nie chcąc, stawali się dziećmi.

Pan dyrektor komercyjnego Banku, Dezyderusz Apfel, krzyczał: Ho! hej! — i wspólnie ze swym maleńkim synkiem w białych królikach, toczył upierścienionymi łapami wielkie kule śnieżne pod szklaną fortecą ogrodowego barometru.

Nauczyciel Czuba, zgarbiony i chudy, podskakiwał w swej ciężkiej bekieszy prawie tak wysoko, jak jego uczniowie, i pierwszy otrząsał z chichotem śniegowe grona, zwisające z gałęzi.

Dwóch jakichś starszych panów (pewnie emeryci), wzięwszy się pod ręce, próbowało przejechać się na wyslizganych kaloszach. Ku ogólnej radości zajechali tak aż do przeciwnego brzegu kałuży, zamarłej na miejscu dawnych rabat.

I tylko panie w futrach stapały sztywno i poważnie, jak małe dziewczynki.

Na końcu parku, w alei, prowadzącej do toru — rojno.

Przy torze ochronne wały, twarde i przezrocyste, jak lodowaty cukier, oblepione brzęczącym, ruchliwym tłumem.

Wysoko na górze raz za razem ukazują się maleńkie, jak zabawka, saneczki, rosną w pędzie i znów maleją, gdy są już na dole.

— Kolej na nas — mówi rosły, zdrowo czerwony chłopak do szczupłej, różowej dziewczyny w białych włóczkach.

W gromadce młodych prysnęły wesoło niesforne głosy;

— Patrzcie! patrzcie! nowourękawiczony Jaksa porywa Beatę!.. słuchajno, chłoptysiu: lepiej od razu zjeżdżaj tyłem, nie będziesz musiał przekręcać sanek w połowie drogi.

Ale Jaksa nic sobie nie robi z przycinków. Lewą ręką w skórzanej, czerwono-bronzonej rękawicy

odsunął towarzyszy, prawą przytrzymał narowiste sanki.

— Siadamy!

Dziewczynka usiadła pierwsza, wysunawszy daleko wprzód długie, szczupłe nogi. Odchyliła się lekko do tyłu. Jaksa zręcznie podstawił swe szerokie, muskularne piersi pod jej plecy.

— Jazda!

Ruszyli ze zgrzytem.

Na pierwszym zaraz zakręcie Jaksie zadrgały dra pieżne palce: objął dziewczynę wyżej.

Beata, uczuwszy na piersiach obręcz dławiącą, szarpnęła się w bok; lecz w temże mgnieniu wyrosły nagle z pod płóz ukośne, ostre skrzydła śniegu. Więc zapomniała o wszystkim i myśli myślą dawnej, małej Beti:

— Polecą, polecą za park, za miasto, za świat!

Ale tor się urwał, sanki zwyrtnęły w bok i zaryły w śniegu.

Jaksa skrupulatnie otrzepał czapką towarzyszkę. Twarz mu pałała. Spocone ręce w jaskrawych rękawiczkach krzątały się zapobiegliwie koło szczupłego ramienia w białej włóczce.

Rozochocony, szybko prowadził Beatę pod górę chropowatą ścieżką.

Minęło ich w pędzie mnóstwo innych sanek. Beata szła milcząc.

Opuściła ją tam na dole wszelka ochota. Małe saneczki-zabawki nie popędzą nigdzie. Zsuną się gładko ze sztucznego wzgórka, aby utknąć w śniegu, i znów trzeba je będzie ciągnąć na sznurku pod górę, która właściwie jest płaską aleją.

Na górze powracających powitał żywy gwar. Przyszedł właśnie ktoś nowy. Wita się z całą gromadką. Podeszedł i do Beaty.

Wymówiono jednocześnie nazwiska i imiona ich obojga.

Mimo obcego nazwiska, poznała go odrazu. On to wynurzył się z głębi wrącej, wiślanej fali w owo niezapomniane, wiosenne południe! On to był, który ją urzekł swymi nagłymi żrenicami, że bez namysłu poszła za nim w wodę.

I... jego to bosi ślad na jasnym brzegu bystrej rzeki doszczętnie zryły kopytami kare konie, że została tam sama i bezradna.

Patrzy więc teraz na tego, odnalezionego niespodzianie, oczami pełnymi radosnego szczęścia!

Patrzy i on na nią.

Patrzy nie na twarz jej, rozświetloną wzruszającym w swej nagłości rumieńcem, nie na dziecinne,

drzące między płaczem a śmiechem wargi... on patrzy na jej piersi, wznoszące stromo biały sweter.

Gruba, ciemna zmarszczka przecięła mu czoło.

Beata spłoszonymi oczami poszła za jego wzrokiem i zbłądła: na białym swetrze, na lewej piersi i na prawej piersi ma ślady rąk Jaksy.

Zachwiała się, jak od policzka.

— Uciekał zapaść się żywcem w śnieg! Boże!!!

Ale ten, który stoi przed nią, obrzucił wzrokiem jej twarz. Zmarszczka zniknęła mu z czoła. Powiedział:

— Teraz zjedziesz ze mną.

I wziął ją mocno pod ramię.

Nie zdziwiła się wcale, że jej powiedział „ty”, nie zdziwiła się wcale, że ją wziął pod ramię.

Poszła za nim posłusznie ze spuszczoną głową, zasłaniając drżącymi rękami rdzawe palce, na piersiach odcisnięte.

Usiadła pokornie za jego prostemi, mocnymi plecami.

Sanki ruszyły odrazu całym pędem. Przykuta do nich, jak do ruchomego pręgierza, stacza się Beata w dół, a ostry pęd wiatru biczuje ją po piersiach i po twarzy.

Tłum, żądny sensacji, podpływa z szumem pod sam wał ochronny.

Ale już sanki zwalniają biegu.

Wpół żywa Beata czuje się uniesiona w górę mocnym, ciepłym ramieniem i postawiona na równej ziemi. Widzi nad sobą jasne oczy, słyszy nad sobą przyjazny głos:

— Zmęczona jesteś. Idź do domu, odpocznij! Przyjdę do ciebie jutro. Pomówimy o naszej przyszłości.

Ostatnie słowa Beata słyszy, jak przez sen... może nie było ich wcale?..

On odszedł już z parku.

Odchodzi i ona.

Zapewne przedtem jeszcze uściskał jej ręce, bo Beata czuje w dłoniach ciepło drugiego serca.

Uszedłszy kilka kroków, spostrzegła, że zimowy dzień skończył się już w parku.

Mały, purpurowy kłębek słońca rozwinął się tuż nad śniegiem w dwie strony i związał biały świat purpurową stulą.

Natychmiast kontury ławek, ośnieżonych chochołów, drzew bliskich i dalekich budynków, jeły się w oczach zmieniać, oddalać, pomniejszać i przeinaczać w siny deseń zamrozów na szybie.

I tylko twarze mijanych ludzi były bliskie. Ze wszystkich stron różowiły się, jak poziomki, rosnące

na śniegu w bajce o sierocie, która spotkała zimą dwunastu apostołów, posłów dobrej wieści.

Cała w uśmiechach szła Beata do bramy. W bramie minęła dyrektora Dezyderego Apfela, który zapierzony sprzeczał się ze swym synkiem o ilość celnych strzałów, oddanych śnieżnymi kulami do czcigodnego parkowego barometru.

Za bramą natknęła się na nauczyciela Czubę. Znalazłszy się poza ogrodem, strofował surowo swych uczniów, że chichoczą i mają zaśnieżone palta.

Jakiś starszy pan, ten sam, co tak wspaniale sunął w ogrodzie na wyslizganym kaloszu, tutaj na chodniku chcąc wyminąć Beatę, potknął się i mało nie upadł.

A wtem zabłysły latarnie — zrobił się późny, zimowy wieczór w całym mieście.

Na ciepłym progu swego mieszkania Beata uprzytomniła sobie niespodzianie:

— Na imię ma Michał.

Ale nie śmiała pomyśleć nic więcej.

Zdarłszy ze siebie splamiony sweter i zmywszy piersi zimną wodą, uklękła Beata do pacierza.

Szorstkie deski pod nagiemi kolanami przypomniały jej ów pokoik na górze, w którym zmarła matka.

...Nie klęczała tak już oddawna. Aż dziś oto musi znowu pomówić z kimś starszym, mądrzejszym, który wie i rozumie, bo jest bardzo dobry i wcale nie zazdrosny.

Wyciąga więc ręce:

— Matko! — ...i poprawia się zaraz:

— Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

* * *

A w nocy, w głębokim śnie pomyślała Beata słowo: „Michał” i natychmiast wargi jej wymówiły: „mój”.

Więc bez tchu w piersiach usiadła na łóżku. W pustce nocy pytała samą siebie:

— Jest że to miłość?

I sama sobie odpowiedziała głośno, wyraźnie:

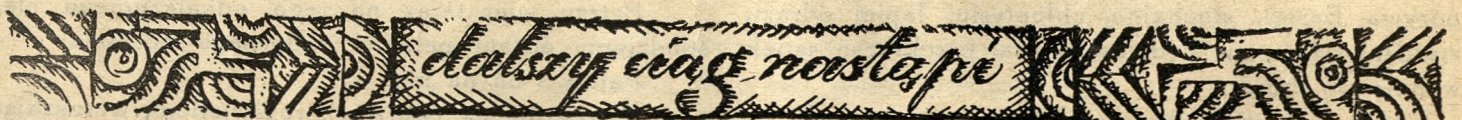
— Tak.

A nazajutrz?

To było po tej rozmowie z Michałem.

Michał odszedł już.

Beata wciąż jeszcze siedzi na brzegu sofki. Patrzy na drzwi: klamka błyszczy się — to on dotknął tej klamki. Położył na niej szeroką, ciepłą dłoń... przez chwilę jego pulsująca krew wtapiała swe życie w ten martwy metal...



SKŁAMANE SZCZĘŚCIE

Podniosłam na niego oczy.

— Możliwe. Ale w imię czego?

Mój narzeczony wzruszył lekko ramionami.

— Ależ w imię zielonych winogron, jak zwykle! Żeby obrzydzić kobiecie, która zdobyła, to, czego się zdobyć z tych czy innych powodów nie mogło. Pani Lora nie może mi darować, mam wrażenie, że niezupełnie ściśle szedłem za jej wskazówkami, a przynajmniej... dezyderatami.

— Chciałabym wiedzieć, jakież to mogły być wskazówki?

— Są to raczej drażliwe sprawy dla mężczyzny, mówić o kobiecie cokolwiekby, jeżeli lepiej byłoby wogóle milczeć. Dość, że pani Lora wołała, żebym — pozornie! asystował pani, właśnie w celu stworzenia pozorów. Ach, trudno naprawdę mówić z kimś, kto ma takie oczy i tak niemi patrzy! Mam wrażenie, że biorę za żonę małą dziewczynkę, i wciąż się oglądam, gdzie są te lalki, którymi moja królewna będzie się bawić? Dajmy już spokój pani Lorze. Dość, że nie chciałem przyjąć roli, jaką mi wyznaczyła nasza, wspólna teraz, piękna kuzynka, tylko postanowiłem zagrać na własne ryzyko.

— I wygrał pan?..

Uśmiechnął się wspaniałemi swemi oczyma.

— Wygrywam teraz! Pani jest właśnie wielkim atutem, który udało mi się zdobyć. Moja dama coeur! Reszta... kwestja umiejętnych posunięć. Ale już o tem nie mówmy! Więc moja królewna godzi się na mieszkanie w tych rodowych ruinach przez jakieś parę miesięcy, zanim doprowadzę do ładu mój spadek węgierski? Ma w tem być, jakoby, bardzo piękna rezydencja w stylu nowoczesnym, i nawet blisko Budapesztu. Pani Lora, zamiast mnie zgnębić ową złośliwą maszyną do trykotaży, oddała raczej przysługę, bo uprzedziła moją królewnę o rozkoszach rodowych zamczysk. Ale taka romantyczna główka wszędzie potrafi znaleźć coś pięknego, zwłaszcza, jeżeli będzie miała przy sobie niewolnika, zawsze gotowego do uwielbienia! Z wyjątkiem chyba czasu, który pani Lora tak przewidująco odlicza istotnie na polowanie.

I kwestja listu i maszyny od Lorci została narazie zlikwidowana.

* * *

Nie było mi jednak sądzonem zapomnieć o mojej kuzynce nawet w tych ostatnich godzinach przedmażeńskich. Wieczorem, kiedy szłam do siebie, na kurytarzu zastąpił mi drogę stary Franciszek, jakiś szczególnie nieśmiały i sterany.

— Proszę panny baronówny... chciałem mówić, proszę jaśnie panienki! Bo to już jutro panienka bę-

dzie panią baronową, więc mi się płacze. Ja do jaśnie panienki przychodzę z pokorną prośbą...

Pochylił się i, całując mnie w rękę, powiedział głosem, który drgał od nieśmiałości i przejęcia:

— Żeby jaśnie panienka okazała mnie, staremu, taką największą łaskę i przyjęła do siebie na służbę, to znaczy się, do jaśnie państwa baronostwa! Niech jaśnie panienka się zmiłuje! Ja jeszcze mamusię panienki taką samą młodziutką i śliczną znałem, jeszcze u rodziców, starszych państwa, za lokaja służyłem! Od małego się tam przyuczałem. Dobrzy byli państwo, ludzcy! A teraz, na starość, przyszło człowiekowi poniewierać się gorzej, jak lokajczuk, który jeszcze ani rozumu, ani wieku nie dorósł!—Franciszek głupi, Franciszek osioł, Franciszek maruda!—Mali panicze, co tu mówić, prawda, że mali: ale tak człowiekowi nadokuczają, tak naurągają, a nieraz to i butem, albo czem ciężkiem...

Otarł rękawem rozżalone, starcze oczy i kończył:

— A powiedziec niema komu! Pan hrabia tylko zna konie i, jak co, to krzywi się i powiada, że to nie jego sprawa, a jaśnie panil!... — machnął bez nadziejnie ręką. — Prędeż człowiek kamienia ugryzie, niż do pani hrabiny śmiałości nabierze, żeby z czem swoim wystąpić. Panienczko najlepsza, proszę staro nie opuścić! Bóg panience poszczęścił, niech panienczka i o mnie nie zapomni! Odpocząłbym na starość lat, bez wydziwiania i wyzwick, aż człowiekowi krzywda serce rozpiera! Panienka inna, łagodna, ludzka, zupełnie jak panienki świętej pamięci mamusia! Służył będę wiernie i w robocie nie przebierał, byleby już stamtąd pójść! A któż mnie staro teraz w usługę weźmie?... A i obyczaj nawet taki dawniej u państwa prawdziwego był, że z domu ze sobą służbę wywozili, szczególnie, jeśli w obczyznę, jak panienka teraz, jechali. Na panienki słowo pan baron się zgodzi, a mnie... Póki życia, będę Bogu dziękował!

Muszę wyznać, że zaskoczyło mnie to narazie, potem jednak przekonałam się do tej myśli niezmiernie. Mieć kogoś swojego w tych niewiadomych Czechach! I zresztą do Franciszka miałam od początku serce, jeszcze za czasu pobytu u Lorci w Niewodowie. Postanowiłam pomówić z ciotką i, wbrew spodziewaniu, ciotka ten projekt zaaprobowała.

— Stary, maruda to jest, ale wierny i u rodziców jeszcze służył. Nie mogłam go trzymać, bo irytował zawsze Markiza. Markiz nie znosi zapachu tabaki, a palił czy nie palił, zawsze go było czuć. Baron nie powinien mieć nic przeciwko temu: ostatecznie, przy dużym domu, jeden człowiek

więcej różnicy nie może zrobić. A nasz nieboszczyk ojciec zawsze mówił, że Franciszek i strzelba — to dwie rzeczy, których za życia by nie zamienił. Tylko jak tu zrobić z Loreta, żeby nie powiedziała, jakoby odbijasz jej służbę?

W końcu ułożyło się, że Franciszek narazie pojedzie do Czech, niby tylko odwiedzić moje rzeczy, a po jakimś czasie napiszę do ciotki, że chory, a ciotka u Lory wybada, czyby jego brak zrobił jej jaką krzywdę.

— Jeżeli tylko nie dać jej poznać, że ci na tem zależy, to zgodzi się: taka już jest! — zaopinjowała ciotka. — To zresztą biore na siebie. A że będziesz miała kogoś swojego, to bardzo ważne. Stary jest przywiązany do naszej rodziny, i gdyby nie Markiz, to jaby sam...

Tak się też stało. Franciszek odjechał z rzeczami, opatrzony w odpowiednie instrukcje. Mąż mój nie wydawał się narazie zachwycony, a nawet niemile był zaskoczony. Wobec kategorycznego jednak zdania ciotki, że przecież jeden człowiek w obsłudze zamkowej różnicy zrobić nie może, zżymnął tylko ramionami i skłonił się.

— Jak panie uważają. Wprawdzie wydaje się już za stary na służbę i, przypuszczam, de facto będzie nieużyteczny. Ale, o ile tylko nie wejdzie w targi ze służbą miejscową i nie będzie chciał rządzić po swojemu... proszę!

Wszystkie rzeczy zostały wyprawione z Franciszkiem. My, po ślubie, na którym asystowała tylko ciotka i przygodny kleryk, z ramienia księdza, dopełniającego obrządek, mieliśmy się udać w dalszą drogę autem. Mąż mój z uśmiechem obiecywał mi jakąś niespodziankę, „która naszej romantycznej główce napewno się podoba”. Czy wspomniałam już, że ślubnej białej sukni nie miałam? Jeszcze w Nizyzy zostało postanowione, że ślub ma być cichy, i że w takim razie pompa ślubna nie będzie miała racji bytu. Narazie byłam zaskoczona, ale ogłuszenie, w jakim się znajdowałam, zobojętniło mnie na zewnętrzne obrządki zupełnie. Owszem, czułam się w bieli i w welonie bardzo dziwnie! Słyszałam zawsze, że młode narzeczone są uroczystie ubierane do ślubu, prowadzone, że odbywa się duży bal, wspaniała kolacja... U nas nic z tego nie było projektowane. Nie miałam otoczenia do balu ani ubierania! Byłam sama! Miałam zresztą śliczny kostjum z surowego jedwabiu i kapelusik z Paryża. Mąż mój zdecydował, że na ranny ślub byłoby śmiesznie stroić się w welon, jak „wyświętowana szwaczka”. Zresztą, podobałam się sobie dość, mimo wszystko: stroje miałam pierwszorzędne, ciotka wyprawę istotnie zrobiła z gestem. Nie

wiedziałam przytem o wielu uczuciach, których symbolem jest biały strój i welon, mirtowy wianek i pomarańczowy kwiat! Nie wiedziałam wogóle, co to znaczy, wychodzić zamaż ze szczęścia? Ja wychodziłam z—opuszczenia! Może i dobrze, że nie włożyłam wtedy stroju, któryby nie miał żadnego odpowiednika w duszy, bo go kiedyś musiałabym zedrzeć z siebie, wraz ze znieprawionym nazwiskiem człowieka, który mnie zhańbił, sponiewierał i zatrul wiarę w świat?

* * *

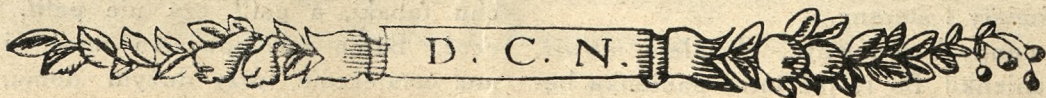
Po wspaniale zastawionem, ale tylko na trzy osoby, śniadaniu u ciotki w hotelu, pożegnaliśmy się bardzo uroczystie. Ciotka łaskawie pocałowała barona w czoło, a mnie wyjątkowo nawet przeżegnała.

— No, mam nadzieję, że nie możesz poskarżyć się na swój przyjazd do mnie, moje dziecko! W Białowieży wyszłabyś najwyżej za pisarza, czy nauczyciela ludowego. Ostatecznie, jest to zasługa więcej Lorci, niż moja, ale gdybym cię nie sprowadziła, to i Lorciaby nie wiele pomogła, choć wygadana, jak adwokat.

Żyj szczęśliwie, a o mnie nie zapominajcie także do szczętu. Może się jeszcze jako zobaczymy? Skleroza mi dojada, bobym przyjechała zobaczyć, jak wam się mieszka w tych Czechach. A gdyby miało tam być coś małego, to, baronie, proszę pamiętać, że piszę się na chrzestną matkę! Myślałam nawet o naszym nazwisku, gdyby to był syn, no bo zawsze byłoby polskie, ale to jeszcze pogadamy. Bądźcie zdrowi! Bądźcie zdrowi!

I dotąd stoi mi w oczach jej sucha, sztywna, uroczysta figurka w fotelu, z nogami okręconymi w pledy i z koronką na głowie, nastroszonej lokami i piórkami, a dziwnie przypominającej czub papugi. Biedna ciotka! Nie myślałam wtedy, że widzę ją poraz ostatni! Ba, i mój mąż zapewne nie myślał też! Inaczej lepiejby się zabezpieczył przeciwko niespodziankom, jakie nas spotkały z tego powodu, i—kto wie—możeby wszystko rozwiązało się prędzej, oszczędzając nam wszystkim kłamstwa, fałszu i upokorzeń?

Ale później się dowiedziałam, że całą strategję odkładał na przyszłe wakacje, które mieliśmy spędzić z ciotką. Mianowicie, miał sprowadzić ciotkę do nas, o ile owa węgierska rezydencja doszłaby już do skutku. Jak potem się zorientowałam, trudnoby doszła, skoro jej nie było wogóle na świecie. Gdyby nie, mieliśmy pojechać tam, gdzie ciotka zechciałaby spędzić lato. Wzmianka ciotki o ewentualnem dziecku i że reflektowałaby na stanowisko matki chrzestnej, nadała planom mego męża inny bieg — ale, przypuszczam, była mu bardzo po myśli.



KAMALINI SHRINAGAMIR

LISTY Z NAD GANGI

Matkę należy czcić tysiące razy
bardziej, niż ojca.

Niechaj szanuje kobiety ten, kto
pragnie, aby mu się w życiu dobrze
powodziło. (Shastras III).

III.

Świetną była przeszłość hinduski. Śmiało rzec
można, że kobieta nasza dobrze zasłużyła się swemu
narodowi. Azali jednak dzień dzisiejszy jest godnym
tej sławnej przeszłości następcą?

Ten szary, powszedni dzień, tak ważną odgry-
wający rolę, zwłaszcza w życiu kobiety, stwarza bo-
wiem ramy, wśród których żyć musi nieustannie, ura-
bia jej psychikę i intelekt.

Zaznaczyłam już w jednym z poprzednich listów,
że obecne warunki życia kobiety nie są jednolite na
całym olbrzymim terytorjum Indyj.

Jaskrawo występujące kontrasty i różnice są
ściśle zależne od tego, która z dwóch kultur — mu-
zulańska czy hinduska — dominuje w danej połaci
kraju

Zacznijmy od tych prowincyj, które wchodziły
ongis w skład państwa afganów i gdzie dotychczas
los kobiet jest najcięższy, żyją bowiem w zamknięciu
„purdhy“. „Purdha“ lub „gosha“ — to zasłona, od-
dzielająca niewieście komnaty od reszty mieszkania.

Okna w tych komnatkach są zakratowane, a nie-
kiedy nawet zasłonięte. Kobiety więc większą część
życia spędzają w zaduchu i półmroku, bez słońca, bez
świeżego powietrza.

Dziewczynki są wydawane zamąż bardzo wcześnie,
niekiedy już w 5-ym roku życia. Do 15-tu lat jednak
żyją u swych rodziców, a do 12-tu pędzą normalne,
swobodne życie. Chodzą do szkoły, biorą udział
w uroczystościach religijnych i publicznych zabawach.
Życie hinduski w tym okresie nie różni się niczem
od życia jej rówieśnic na Zachodzie. Wesołe zaba-
wy na świeżym powietrzu, nauka, rozwijająca umysł
i serce — wszystko to jednak kończy się raptownie
z nadejściem fatalnego wieku — 12-tu lat

Dom rodzinny staje się dla niej więzieniem;
purdha — murem granicznym, którego jej przestąpić
nie wolno. Daremnie serce rwie się w tęsknocie do
życia na swobodzie, napróżno rozbudzony umysł
łaknie wiedzy.

Szczęśliwą jest, jeśli w jej otoczeniu znajduje się
kobieta, bardziej od niej wykształcona: wtedy uczyć
się może nadal. To jednak zdarza się rzadko. Ostat-
nią deską ratunku, nadzieją jedyną — jest mąż: może on
zrozumie i dopomoże. To też do tego męża obcego,
dalekiego, dojrzanego przelotnie „pod żółtą zasłoną“,
modli się dziewczynka, jak do Boga i Zbawcy, a po-

tem, gdy już pod dachem jego zamieszka, uległością
i staraniem usiłuje zjednać jego miłość i zrozumienie.

Kobieta, wychowana w purdhy, lęka się świata
i ludzi; nieufnie odnosi się do każdego obcego męż-
czyzny, czuje się obrażoną, jeśli który z nich ośmieli
się do niej odezwać. Przypadkiem zresztą jeno zda-
rzyć się to może, wstęp bowiem za purdhy jest im
surowo wzbroniony. Zakaz ten dotyczy również braci
męża. Ojciec, mąż, bracia — są jedynymi mężczyznami,
z którymi jej się widywać wolno. Wychodząc na
ulicę, musi twarz szczelnie zakrywać zasłoną. Jest
tak bezradna i załęczona, że przejście przez ulicę
jest dla niej bohaterskim czynem. Cóż więc dziwnego,
że wychowane w tych warunkach kobiety są wiecz-
nymi dziećmi, nie znającymi świata ni ludzi, bezrad-
nymi i bezbronnymi? Cóż dziwnego, że w mężu
swym, panu swego losu, wielbią wcielenie swego ideału
wielkości i mocy i oddają mu cześć niemal boską?

Kobiety, wychowane od pokoleń w purdhy, nie
wyobrażają sobie wprost życia poza nią; przywiązane



Kobieta na ulicy

są też do niej, jak zakonnica do klauzury swego klasztoru. Szczycą się nią. Ponieważ na takie życie w zamknięciu mogą pozwolić sobie jedynie kobiety wyższych kast, zmuszone do tego przez ustawodawstwo swej kasty, oraz zamożne, nie potrzebujące zarobkować—stała się więc purdha niejako widomym znakiem arystokratycznego pochodzenia i zamożności. Wpłynęło w nasze kobiety przekonanie, że purdha jest konieczną ochroną ich cnoty; z politowaniem więc i pogardą odnoszą się one do nieznanających purdhy kobiet shudrów, poczytując je niemal za istoty nieczyste. Te zaś zazdrosnym okiem patrzą na bogaczki, w „goshy” żyjące. W istocie zaś pędzą na swobodzie o wiele od nich szczęśliwsze życie. O wiele również szczęśliwsze, niż siostry ich na Zachodzie. Nie znają, bowiem, niedoli proletariuszek Zachodu, nieustannej pogoni za marnym zarobkiem, samotnego borykania się z losem. Każda z nich ma dom rodzinny, a jeśli pracuje zarobkowo, to z własnej woli, aby dopomóc mężowi. Silne i zdrowe, nierzadko mają się czysto męskich rzemiosł, jak ciesielka, mularstwo. Dzięki nim, z ufnością możemy patrzeć w przyszłość naszego narodu. Purdha bowiem jest narodową klęską. Hamuje fizyczny i intelektualny rozwój hinduski. Kobiety, wychowane w goshy, bez dostatecznego ruchu i świeżego powietrza, są wątłe i chorowite; umierają też masowo, zwłaszcza na gruźlicę. Dzięki purdzie, kobiety stanowią zaledwie 46% zaludnienia Indyj, co daje o 7 milionów mniej kobiet, niż mężczyzn.

O wiele gorszym jest los muzułmanek; tym nieszczęśliwym nie wolno nawet wychodzić po wodę do studni, znajdującej się na ich własnym podwórzu. Mamy jednak nadzieję, że te opłakane stosunki ulegną zmianie pod wpływem reform, zaprowadzonych w Turcji.

Naogół biorąc, o wiele gorzej dzieje się mieszkankom prowincji pod okupacją angielską, niż kobietom w niezależnych państwach Indyj. Albowiem rząd obcy nie zna naszych potrzeb, jednostki światła nie mają możliwości przeprowadzenia reform, a ogół—ciemne masy—nie odczuwa ich potrzeby, nie występuje więc do rządu z odpowiednią inicjatywą.

Zupełnie inaczej jest w niezależnych państwach Południa. Tam kobieta zawsze była absolutnie równoprawna z mężczyzną: wszystkie zawody są dla niej dostępne, może się jąć wszelkiej pracy, do której się czuje uzdolnioną. A jeśli, naogół biorąc, kobieta wyższych kast prowadzi tu mniej ruchliwe życie, niż jej siostry na Zachodzie, jeśli więcej przebywa w domu i nierada się zeń wychylać—to jest to winą tropikalnego klimatu tych okolic mej ojczyzny.

Wy, ludzie Północy, nie możecie mieć pojęcia o tem, jak strasznie oddziałują podobne upały na organizm, powodując osłabienie i ociężałość.

(c. d. n.)

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

„MISS POLONIA”



Od kilku lat już ustalił się zwyczaj corocznych międzyeuropejskich konkursów piękności w Paryżu. Wszystkie państwa europejskie wysyłały obrane przez siebie kandydatki, a laureatka konkursu jechała, jako miss Europa, na konkurs wszechświatowy do Ameryki. Polska w tym roku po raz pierwszy wzięła oficjalny udział w tych wyborach. Janina Smolińska, która figurowała w roku ubiegłym wśród konkursowych piękności, jako „miss Pologne”, była laureatką in partibus infidelium, obraną przez kolonję paryską. Obecna „miss Polonja”, p. Władysława Kostakówna, należała do dziesięciu piękności, wyróżnionych przez plebiscyt czytelników Światowida i Kurjera Czerwonego, i wśród tych dziesięciu została wybrana jednogłośnie przez jury, składające się z wybitnych rzeźbiarzy, malarzy i literatów. P. W. Kostakówna odznacza się rzeczywiście wybitną urodą, o charakterze bardzo polskim; jaśnieje przytem niezrównanym wdziękiem niepodrabianej młodości.

WYSTAWA PRACY KOBIET NA Powszechnej WYSTAWIE KRAJOWEJ 1929 r. W POZNANIU

Dnia 25 ub. m. odbyło się zebranie sekcji finansowej Komitetu Wystawy Pracy Kobiet przy udziale licznych delegatek stowarzyszeń społecznych

P. ministrowa Michalska zdała sprawę z pracy sekcji finansowej, której akcja rozwija się pomyślnie. Żetony, szczególnie na prowincji, rozchodzą się w dużych ilościach, mimo, że nie wszystkie stowarzyszenia stały się do rozsprzedaży.

Ze względu na palącą potrzebę wzmocnienia funduszy dla całkowitego ukończenia budowy pawilonu, omawiana była szeroko i poddana dyskusji sprawa rozprzestrzenienia żetonów. Wiele z obecnych pań ofiarowało się utworzyć punkty sprzedaży żetonów w znajomych sklepach i biurach.

Najważniejszym jest to, aby każda kobieta zrozumiała obowiązek kupienia żetonu i noszenia go stale, w celu propagandowym. P. Prezydentowa Mościcka zachęca do tego swym przykładem.

Komitet Wystawy żywi nadzieję, że żadna kobieta nie zawała się ponieść tej drobnej ofiary dla budowy wspólnego dzieła.

ODŻYWIANIE A ZDROWIE

(e. d.)

W artykule moim p. t. „Amerykańskie poglądy na sprawę żywienia” dałam wskazówki, jak należy układać budżet, tj. ile przeznaczać pieniędzy na poszczególne produkty, aby odżywiać się racjonalnie. Studyjąc przez dłuższy czas sposób odżywiania się w Polsce, doszłam do wniosku, że, szczególnie w miastach, spożywamy za mało mleka, które tu jest b. t. a. nie w porównaniu z zagranicą; za mało jadamy sera zwyczajnego i owoców, za wiele zaś wędlin i tłuszczów oraz ciastek. Wśród warzyw, jakie kupujemy, zamało jest urozmaicenia. W niektórych domach nie dają wcale jarzyn, natomiast mięso z kaszą, kłuskami lub makaronem. Są to wady naszego odżywiania, które sprzyjają rozwojowi chorób następujących: 1) kwasicy; 2) nerkowych i uremji; 3) niektórych chorób serca i naczyń krwionośnych; 4) zwiększeniu ciśnienia krwi; 5) migrenie. W powyżej wymienionych chorobach odczyn krwi odchyła się od normalnego, zlekką alkalicznego, i nabiera mniej lub więcej odczynu kwaśnego.

Zapomocą diety kwasowość krwi może być regulowana. Pokarmy, zawierające kwasotwórcze elementy, są to: chleb, grube kasze, ryż, mąka, jajka, mięso, ryby. Nie powinny one mieć przewagi nad pokarmami, wytwarzającymi zasadowy odczyn, t. j. nad warzywami, owocami, mlekiem, serem. W jadłospisie dzieciennym bardzo łatwo tę równowagę utrzymać, przeznaczając około 1 litra mleka na każde dziecko, przynajmniej dwa warzywa i 1 owoc dziennie; w jadłospisie starszych—podając mięso (które daje odczyn kwaśny we krwi), z kartoflami i inną jarzyną (które dają alkaliczny odczyn we krwi), owoce na śniadanie, a na kolację sałaty ze świeżych warzyw lub mleko zsiadłe.

Mleko zsiadłe, kapusta lub ogórki kwaszone, sok z cytryny, choć zawierają kwasy, dają tylko kwaśną reakcję w żołądku, a do krwi wnoszą czynniki alkalo-twórcze (zawierają, prócz kwasów organicznych, elementy takie, jak wapno, potas i t. d.).

1. Kwasica grozi często diabetykom i w związku z artykułem poprzednim o diecie na cukrzycę będzie jeszcze omawiana.

2. Choroby nerkowe. Charakterystycznym ich objawem jest osłabienie zdolności wydzielania, szczególnie produktów rozkładu białka oraz soli. Stąd w diecie osób, skłonnych do chorób nerkowych, unikać musimy pokarmów, które po strawieniu dają substancje, trudno się wydzielające: mocznik (z mięsa, jaj, ryb); kreatinina (z rosółów); kwas hippurowy (z niektórych warzyw i owoców); fosforany (z żółtka jajka, z ziarn fasoli, soczewicy, grochu); siarczany ze wszystkich produktów, zawierających dużo białka: z mięsa, ryb, jaj). — Natomiast wprowadzić należy do

diety pokarmy, których produkty rozkładowe łatwo się wydzielają: kwas moczowy (z mięs gotowanych np. sztuki mięsa, zapiekanej z sosem śmietanowym, potrawy z białego mięsa z kartoflami i warzywami, nie z ryżem!) oraz pokarmy, zawierające alkalo-twórcze elementy, t. j. warzywa i owoce.

Co do diety przy niektórych niedomaganiach serca oraz zwiększeniu ciśnienia krwi, — gdy przyczyna tych cierpień jest przez lekarza ustalona — wówczas dietetyczka ma dane, według których układa dietę dla chorego. Wogóle dla większości pacjentów na powyższe przypadłości wskazówki dietetyczne są zbliżone do diety dla chorych na nerki.

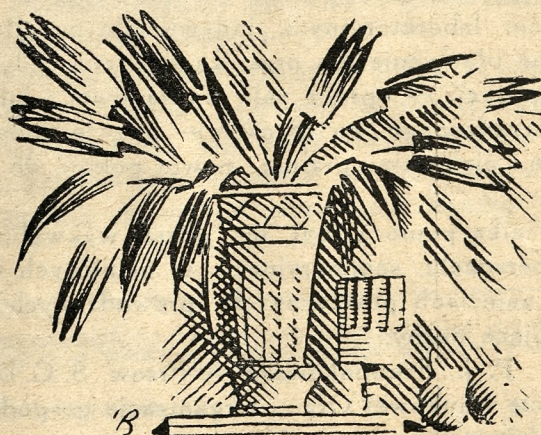
Dieta przy skłonności do migreny jest nieco odmienna i jest obecnie w stadium doświadczeń i dociekań naukowych.

Dotychczas dało się osiągnąć rezultaty następujące:

1. Dieta przy skłonności do kwasicy.

Kwasica jest to stan organizmu, polegający na tem, że ma on mniej alkaliczny odczyn, niż normalnie. Krew w normalnym organizmie jest zawsze zlekką alkaliczna i odchylenie od tego w jedną czy drugą stronę w (kierunku kwasowości czy zasadowości) jest chorobliwe. Dawniej chorym na cukrzycę wprowadzano drugą chorobę — kwasicę — bo leczono diabetyków głodówką, lub zmniejszaniem ilości węglowodanów do tego stopnia, że dieta zawierała głównie tłuszcze i białko. Tłuszcze mogą się spalić w naszym organizmie na wydychany dwutlenek węgla i wodę tylko w obecności węglowodanów. Ponieważ diabetycy nie mogą spalać węglowodanów, a więc ostatecznego ich przedstawiciela — cukru — nie mogą również spalać tłuszczu we właściwy sposób. Te właśnie niedopalone części tłuszczu gromadzą się we krwi i sprowadzają kwasicę. Mocz staje się wtedy kwaśny i natychmiast należy zastosować następującą dietę: 90 gramów (sucha waga) drobnej kaszki, 300 gramów odtłuszczonego mleka i 2000 gramów soku z pomarańczy lub innego owocu.

Marja Morzkowska,
mag. dietetyki.



NAUKA GOSPODARSTWA DOMOWEGO DLA KOBIET Z INTELIGENCJI

MOTTO: Zgoda jest wtedy w małżeństwie
gdy mąż lubi dobrze zjeść — a żona
jest dobrą gospodynią.

Dnia 19 grudnia zakończył się w Warszawie pierwszy kurs gospodarstwa domowego dla pań z inteligencji, oparty na nowych zasadach naukowej organizacji pracy i dietetyki.

Takie kursy prowadzone są zagranicą oddawna; nie brak tam także personelu, przygotowanego metodycznie do prowadzenia wykładów i praktycznych zajęć, a te ostatnie są w gruncie rzecz trudniejsze od nauki teoretycznej.

U nas pierwszy wyłom w tym zakresie zrobiła p. Irena Szumlakowska, inicjując kilkodniowe kursy organizacji gospodarstwa; — był to duży krok naprzód, ale posuwał sprawę tylko częściowo, bo nie dawał całokształtu zadań gospodyni domu, co w warunkach współczesnych jest zadaniem coraz bardziej skomplikowanym.

Rada naczelna gospodarczego wykształcenia kobiet już w roku zeszłym agitowała usilnie za zorganizowaniem kursu, łączącego teorię z praktyką i obejmującego wszystkie dziedziny gospodarstwa domowego, lecz żadna z naszych instytucji społecznych na to się nie decydowała. Wobec tego Rada zdecydowała się na organizację kursu 6-cio tygodniowego w porozumieniu z p. Szumlakowską, reprezentującą w Radzie Sekcję gospodarstwa domowego przy Instytucie Naukowej Organizacji Pracy, która też ujęła w swą energiczne ręce administrację kursu, bardzo trudną ze względu na szybkie tempo i skoncentrowany program.

Jako teren kursu, pozyskano Seminarjum dla nauczycielek gospodarstwa, gdzie w roku ubiegłym wprowadzone zostały urządzenia, udoskonalone na stopę europejską, pozwalające na prowadzenie nauki systemem laboratoryjnym, indywidualnym. Było to ogromne ułatwienie dla organizacji kursu, gdyż dało do dyspozycji — oprócz sali wykładowej i laboratorium, urządzonego na 18 osób — jeszcze dodatkowe kuchnie, piekarnie, pralnie, nawet pokoje do sprzątania.

Wielką pomocą był też udział wykwalifikowanego personelu seminaryjnego w niektórych wykładach i zajęciach praktycznych, prowadzonych przez następujące osoby:

1. P. J. Szumlakowska — Przew. S. G. D. przy Instytucie Naukowej Org.:—Organizacja gospodarstwa i metodyka pracy oraz Urządzenie wnętrza domu.

2. P. Marja Morzkowska—magister dietetyki:—Budowa ciała ludzkiego i jego potrzeby.

3. P. M. Karczewska — przew. Rady Nacz. Gosp. Wykształcenia Kobiet:—Zadanie nauki gospodarstwa, rozwój jej zagranicą i u nas.

4. P. Dalkiewicz — b. dyr. szkoły handlowej:—Prowadzenie rachunków.

5. P. Komornicka — P. O. Dyr. Seminarjum:—Towaroznawstwo.

6. P. Laskowska — naucz. Semin.:—Towaroznawstwo.

7. P. Czechowska — kier. nauki gosp. dom. w szkole powsz.: Kuchnia codzienna.

8. P. E. Kiewnarska — autorka doskonałych prac z zakresu gastronomii i współpracowniczka „Bluszczu”:—Kuchnia wykwińska.

9. P. Zdanowska — absolw. Sem. w Zurychu i naucz. w Kuźnicach: — Piekarnictwo.

10. P. Radwańska — naucz. Semin. w Warszawie:—Sprzątanie, pranie.

Pomimo, że kurs nie był wcale reklamowany, jednak napływ uczennic był nadspodziewanie duży i wkrótce przekroczył znacznie liczbę 36 słuchaczek, stanowiącą maksimum, przy którym można prowadzić praktykę w 2-ch grupach; skutkiem tego część pań, które się zgłosiły, mogły być przyjęte już tylko na teorię. Ogólna liczba wyniosła 60 kursistek i w tym komplecie rozpoczął się kurs dn. 12 listopada r. z. od wykładów w Inst. Nauk. Organizacji.

Po 3 dniach wykładów teoretycznych, przygotowujących do zajęć praktycznych, rozpoczęły dwie grupy swą praktykę, przyczem gotowanie prowadzone było metodą grupowania zbliżonych pokarmów, zaś sprzątanie, czyszczenie i porządki — przy użyciu ulepszonych sprzętów i przyborów.

Przejęcie i zainteresowanie kursami było bardzo duże: niektóre panie, urzędujące w biurach do 4-ej, pracowały potem z wytężeniem od 6—9, czasem nawet dłużej, i stosowały się ściśle do regulaminu.

Na zakończenie odbyła się repetycja. Kursistki wybrały pytania i opracowały odpowiedzi piśmienne, które następnie uzasadniały ustnie. Świetnie opracowane były niektóre zadania—zwłaszcza z zakresu organizacji gospodarstwa—przyczem nie brak było nawet nowych pomysłów.

Kursy skończyły się; z tą chwilą jednak jeszcze silniej uwidatniła się potrzeba stałej placówki nauki gospodarstwa domowego, mającej własne pomieszczenie i urządzenia, stojące na poziomie współczesnych wymagań, oraz stały personel nauczycielski, doskonale przygotowany i uzdolniony.

Jeżeli jednak już organizacja krótkich kursów przedstawiała niemałe trudności, to stokroć trudniej przedstawia się doprowadzenie do skutku organizacji stałej, wymagającej sporego kapitału i wybitnej siły

kierowniczej. Nasuwa się też pytanie: kto powinien zająć się tą sprawą?

Szkoły gospodarstwa wiejskiego stworzone zostały wysiłkiem jednostek, które poświęciły im wiele lat pracy i poniosły niemałe ofiary materialne.

Taką jednostką była generałowa Zamojska, która stworzyła prototyp tych szkół najprzód w Kórniku, a potem ugruntowała go w Kuźnicach. Taką jednostką była Cecylja Zyberg - Platerówna, założycielka Chyliczek; taką — Wanda Czartoryska, której zawdzięczamy Snopków; od lat kilku poszła za ich przykładem Matka Urszula Ledóchowska, założycielka szkoły i seminarjum w Pniewach.

Czy możemy czekać, aż znajdzie się równie ofiarna i świadoma potrzeb krajów obywatelka i weźmie na siebie trud i koszt założenia szkoły gospodarstwa w Warszawie?

Myszę, że znacznie pewniejszą drogę stanowiłoby zgrupowanie się poważnej liczby kobiet i stworzenie organizacji udziałowej, tak jak to robią czeski, które założyły wspólnymi siłami Dom kobiet czeskich, tak zresztą, jak to zrobiły u nas służące, których stowarzyszenie jest dziś jednym z najbogatszych stowarzyszeń polskich.

Obie instytucje, które zorganizowały pierwszy kurs gosp. domowego, nie mają właściwie tego zadania w swych programach i podjęły je tylko dla przykładu i dla dowiedzenia, jak dalece sprawa ta jest dziś aktualna i ważna; obie te instytucje mogą dopomóc w zorganizowaniu stałej placówki, mają bowiem doświadczenie i praktykę, ale samą akcją winny się zająć zbiorowe siły czynnych organizacji społecznych.

Mając własną placówkę, możnaby organizować cały szereg kursów o najrozmaitszym poziomie, łącząc z nimi stację doświadczalną, którą Niemki posiadają już od kilku lat. Dzisiaj, nabywając sprzęty gospodarcze, czynimy to na chybił-trafił, nie wiedząc, czy dany sprzęt odpowie naszym potrzebom, czy jest trwały i czy w razie zepsucia da się zreperować. Dotychczas widać w każdym prawie gospodarstwie białoniebieskie emaljowane naczynia kuchenne, od których emalja odpryskuje przy lekkim trąceniu; widać łyżki aluminiowe, pogięte po parotygodniowym użyciu; tarki, na których nic utrzyć nie można, itp. bezużyteczne sprzęty. W oknach pierwszorzędnym sklepów widnieją porcelanowe słoje, przeznaczone do ryżu, kaszy, mąki, o rozmiarach i kształtach zupełnie nieodpowiednich, i niema żadnej instytucji, któraby się zajęła oceną tych sprzętów i ocenę tę podawała do publicznej wiadomości.

Jeżeli przy drobnych, masowo kupowanych sprzętach sprawa ta ma duże znaczenie, to jeszcze większe jest ono w stosunku do dużych, drogich sprzętów.

Mamy w Warszawie pralnie domowe dwóch systemów — który z nich jest lepszy? Wiele domów zaopatruje się dzisiaj w odkurzacze — który z tych bardzo drogich przyrządów jest praktyczniejszy, bardziej zasługuje na polecenie? Ukazały się od niedawna elektryczne lodownie — jaka jest ich wartość?

W milionowym mieście musi powstać stacja doświadczalna; ale warszawianki tylko wtedy będą z niej korzystać, wtedy stanie się ona popularną, gdy powstanie wysiłkiem nie jednostki, a szerszego ogółu. Za Warszawą pójda inne miasta i sprawa rozwoju naszych gospodarstw ruszy z martwego punktu, na którym utknęła, pograżając się w coraz bardziej beznadziejnym marazmie, którego wynikiem jest masowa ucieczka z domów do lokali publicznych.

Aby dać możność naszym czytelniczkom wypowiedzenia się w tej sprawie — otwieramy na łamach „Bluszczu“ dyskusję na powyższy temat. *M. Karczevska.*



PULARDA A LA DEMIDOFF

Młoda pulardę, starannie oczyszczoną i opaloną, wytrzeć wilgotną ściereczką, wypaproszyć. Do rondla włożyć 5 deka masła, na to posoloną pulardę, zrumienić ładnie ze wszystkich stron; dodać dwadzieścia deka przerastającej szynki, dużą marchew, dwie rzepki lub pół brukwi średniej wielkości, zalać dwiema szklankami lekkiego białego wina (może być krajowe), — marchew i rzepka powinny być pokrajane w paski. Rondel przykryć pokrywą i dusić wolno, dopóki pularda nie zmięknie.

Czterdzieści deka ryżu zalać litrem rosółu, wygotowanego z kostek cielęcych, z dodatkiem dróbek od pulardy; osolić, zagotować raz, wymieszać dobrze z dziesięcioma deka świeżego masła, wstawić w piecyk, aby się ryż udusił, pozostając bardzo sypkim.

Dr. med. J. ŚWITALSKA

POWRÓCIŁA I ORDYNUJE CODZIENNIE OD 10-ej
DO 11-ej, ORAZ W PONIEDZIAŁKI, ŚRODY I PIĄTKI
OD 8-ej DO 7-ej.

(Choroby skórne i Kosmetyka [coznioza]).

Kilo świeżych pomidorów lub półkilową puszkę konserwy pomidorowej udusić z piętnastoma deka nicejskiej oliwy, przetrzeć przez sito, posolić, dodać odrobinę białego pieprzu.

Na półmisku ułożyć ryż, wkoło rozebraną na części pularde; sos, który powstał przy pieczeniu, jarzyny i drobno pokrajaną szynkę zmieszać z purée pomidorowem i pokryć tem pularde—jeśli jest dosyć, to i ryż,—i podawać gorące.

Kto nie znosi oliwy, może ją zastąpić masłem, w oryginalnym przepisie figuruje jednak oliwa.

ŚLEDZIE ŚWIEŻE Z KARTOFLAMI

Śledzie świeże, smażone na gorąco, lub też po usmażeniu zamarynowane w occie, zyskały już sobie u nas zupełne prawo obywatelstwa.

Niedawno jadłam poraz pierwszy potrawę ze śledzi gotowanych — wcale smaczną i, wobec wielkiej taniości tej ryby, zasługującą na rozpowszechnienie.

Cztery śledzie świeże (wagi około 1 kilo) oczyścić, posolić na parę godzin i ugotować w niedużej ilości wody z cebulą, pieprzem i listkiem.

Oddzielnie ugotować półtora kilo kartofli w łupinach, obrać, póki gorące, pokrajać w cienkie plasty. Dwadzieścia deka łagodnej cebuli (cukrowej, hiszpańskiej itp.) obrać z łupin i pokrajać w cienkie płatki.

W naczyniu ogniotrwałem, wysmarowanem masłem i wysypanem bułeczką, układać rzędami kartofle, śledzie, obrane ze skórki i ości, i cebulę, każdy rząd lekko soląc i pieprząc białym pieprzem. Zalać wszystko dwiema szklankami kwaśnej śmietany i taką ilością wody (smak, w którym się śledzie gotowały, ma nieprzyjemny zapach morskizyny i używać go nie należy). Dusić wolniutko pod pokrywą, lub zapiec w niezbyt gorącym piecu przez pół godziny. Podawać w tem samym naczyniu.

BRUKIEW ZAPIEKANA

Średniej miary brukwie obrać z łupin, pokrajać tak, jak pomarańcze, ugotować w osolonym wrzątku, odcedzić na sicie. Metalowy półmisek wysmarować grubo masłem, ułożyć na nim kawałki brukwi w taki sposób, aby jeden zachodził na drugi, i grubsze kawałki były u góry. Posypać brukiew cukrem, polać roztopionem masłem, nakoniec znów posypać tartą bułeczką, po połowie z ostrym serem. Wstawić na dwadzieścia minut w średnio gorący piec. Gdy się z bułeczki i sera uformuje rumiana skorupka—wyjąć z pieca i podawać, bądź jako jarzynę do kotletów, czy pieczeni wołowej lub wieprzowej, bądź jako samodzielne jarskie danie.

KASZKA MANNA ZAPIEKANA

Ugotować bardzo gęstą kaszkę, biorąc szklankę kaszy manny na trzy szklanki mleka lub wody. Wybić doskonale trzepaczką do białek, przykryć rondel pokrywą i pozostawić w ciepłe przez dwadzieścia minut, aby dobrze wybrzękła. Wyrzucić na miskę, dodać dziesięć deka jakiegobądź ostrego sera i dwa całe jaja. Wymieszać, rozsmarować równą warstwą na półmisku, zastudzić. Gdy zupełnie zastygnie i stwardnieje, zdjąć z półmiska na deskę, pokrajać, jak serniki (leniwe pierogi), ułożyć w wysmarowanym masłem głębokim półmisku, obficie przesypując ostrym serem tartym i kawałeczkami masła. Ostatni rząd posypać tartą bułeczką po połowie z serem. Na wierzchu położyć małe kawałeczki masła i wstawić na kwadrans w średnio gorący piec.

Podawać gorące w tem samym naczyniu.

KREM W BISZKOPTACH

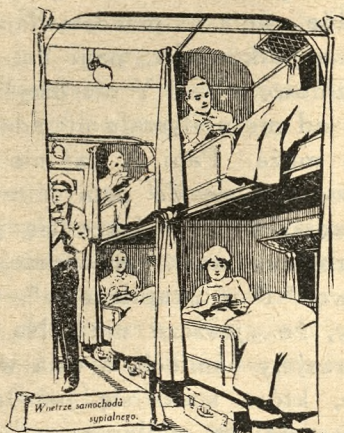
Niezbyt dużą foremkę tortową wyłożyć na dnie i wkoło ścianek pergaminem. Z brzegów wkoło całej formy ustawić szczelnie jeden obok drugiego przekrajane na połowę zwykle biszkopty, takie, jakie się podaje do czekolady. Na dnie ułożyć nieduże makaroniki, wypukłą, zewnętrzną stroną do dołu. Pół litra kremowej śmietanki ubić na pianę, zmieszać z filiżanką cukru-pudru, utłuczonego z wanilią. Sześć listków żelatyny białej wymoczyć w zimnej wodzie, rozpuścić w trzech łyżkach gorącej wody. Zmieszać narazie z paroma łyżkami ubitego kremu, potem dodać do reszty, wymieszać dokładnie i tą stygnącą masą kremową napełnić miejsca pomiędzy biszkoptami. Wynieść na chłód na parę godzin. Przed podaniem wyłożyć na półmisek, odjąć pergamin, ubrać po wierzchu wiśniowemi lub malinowemi konfiturami bez syropu. Syrop od konfitur podać oddzielnie w sosjerce.

KASZTANY Z KREMEM

Pół kilo kasztanów obrać z wierzchniej twardej skórki, ugotować w leciutko osolonej wodzie, odcedzić, obrać ze skórki zewnętrznej, utrzeć doskonale na miseczce z pół szklanką cukru-pudru, utłuczonego z wanilią. Przetrzeć tę masę przez bardzo rzadkie sito lub durszlak, uformować lekką piramidę w środku półmiska. Pół litra kremowej śmietanki lub młodej śmietany ubić na pianę, zmieszać z drugą pół szklanką cukru-pudru z wanilią, ułożyć wkoło kasztanów i podawać. Stać długo ta potrawa nie powinna, gdyż kasztany obeschną, a krem odwodnieje. Chcąc ją podać ładniej, można krem ubrać konfiturami. *Pani Elżbieta.*



Road Sleeping Car.



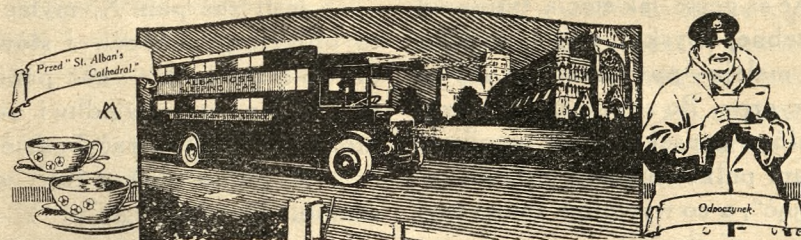
NICZEM niezamącony sen — w locie przez nocny krajobraz z szybkością 70 km. na godzinę — oto podróż samochodem sypialnym, pierwszym w swoim rodzaju w Europie, kursującym nocą między Londynem i Liverpooliem.

Pograżony we śnie mija podróżny wielkie, zawsze ożywione miasta "Midland" u, zalane krwawą purpurą odzwierciadlających się w niebie i tchnących ogniem wielkich pieców i poprzez w srebrnym blasku księżycza drżącą krajinę, gdzie żył i działał Shakespeare zbliża się coraz więcej do celu podróży, którym jest Londyn. Silnie działają motory, samochód mknie, bieg jego jest jednak tak spokojny, iż niema obawy, aby spożywana na śniadanie filiżanka herbaty Lyons'a mogła ulec rozlaniu.

Jeden raz tylko zatrzymuje się samochód po drodze, a to jedynie w tym celu, aby szofer mógł na chwilę przerwać swą pełną odpowiedzialności pracę i posilić się niezbędną dla każdego człowieka, którego zawód wymaga przytomności umysłu i silnych nerwów, filiżanką ożywczej i wzmacniającej herbaty Lyons'a.

HERBATE LYONS'a

podają we wszystkich lepszych kawiarniach i cukierniach. Herbata ta słynie w Anglii od wielu lat. Zarówno dla Was, jak i dla każdego innego kraju specjalnie i w różnych wielkościach opakowana, aby wszelkim wymaganiom zadośćuczynić.



WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
 SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
 I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
 APTEKA A. GAŚECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

HEMOROIDY, CZOPKI **„VARICOL”**
 HEMOROIDALNE
 USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWA-
 WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZE-
 DAJĄ WIEKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —
 APTEKA A. GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
 ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr. **Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.**
Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.
Druk. Zait-Grafi. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rybarska 6, tel. 244-16.

Nasza Mównica

Poleszanka.

Powracam raz jeszcze na łamach „Naszej Mównicy“ do kwestji, poruszanej już w „Polsce Zbrojnej“ i — nawet niedawno — w „Bluszczu“ — do kwestji „tytułomanji“.

Jako żona oficera, obracam się przeważnie w sferach wojskowych. I tu, tu właśnie, w tej atmosferze hierarchji, choroba tytułomanji występuje w formie najbardziej ostrej, i epidemicznej, i zaraźliwej, a często—bolesnej.

Cała Polska wie już, co to jest „Rodzina Wojskowa“. Wie, czego już dokonała, co zamierza i do czego dąży. Sama zaś nazwa wskazuje, że celem Tego, kto ją zakładał, jest, by członkinie — poszczególnych Kół w każdym razie — żyły się, zwały w swej wspólnej, prześlicznej pracy naprawdę w „rodzinę“.

Pamiętam, z jakim radosnym zapałem zapisywałam się do „Rodziny Wojskowej“!

I oto jestem na X-tem zebraniu. Mamy omawiać różne sprawy — ważne, mniej ważne i prawie błahe, ale konieczne. Jak piłki tenisowe, przelatują i krzyżują się nad głowami tytuły: „Pani generałowa! Pani porucznikowa! Pani kapitanowa! Pani pułkownikowa! Pani majorowa!“ — Wszystkie sprawy — od najważniejszych do tych błałych, — opłatane są gęsto, jak siecią, tytułami, gubią się w tej niepotrzebnej błyskotliwości, rozdrabniają się i — maleją. Tak, maleją — powtarzam to słowo wcale nie jako zwrot retoryczny. Bo ze ślepego, śmiesznego uwielbienia dla tytułów, konsekwentnie wynikają fakty, że to, czem np. „Pani pułkownikowa jest tak łaskawą i ofiarowuje się zając“, a co wywołuje zazwyczaj entuzjastyczne pochwały — nigdy nie jest tem, co „pani porucznikowa będzie tak dobrą i zrobi“; jak również i to, że chociażby „pani majorowa“ doradzała coś, co praktycznie „na rozum“ jest lepsze, niż to, czego „sobie życzy pani pułkownikowa“ — to wniosek tej pierwszej napewno upadnie.

Jako przykład, jak bardzo te stosunki ciąży (może czasem nawet nieświadomie) niektórym, pozwolę sobie przytoczyć parę zdań z listu mojej znajomej, która była delegatką na walnym zjeździe „Rodziny Wojskowej“ w maju.

„Nie masz pojęcia, jak dobrze się czułam w gronie tych wszystkich niewiast, które mimowoli ogarnęłam w myśli — jak uściskiem — słowem „siostry“! Jak miło było słuchać referatów, brać udział w dysputach, zachwycać się inteligencją, energią i inicjatywą tych różnych nieznanym mi, a tak bliskich kobiet —

i nie wiedzieć nawet, która jest żoną generała, a która — porucznika!

Widzisz — nazwę „Rodzina Wojskowa“ wtedy nie tylko rozumiałam, ale czułam — choć sama byłam obca, zagubiona i nikomu nieznaną...“

A oto, jak się ta sprawa przedstawia w życiu towarzyskiem. Gdzieś spotykają się dwie nieznanym sobie panie — przedstawiają je sobie. Pani X jest żoną pułkownika, pani Y — kapitana. Rozpoczynają rozmowę. Pani Y nie omyli się, tytułując panią X, bo od męża słyszała niejednokrotnie nazwisko i rangę jej męża. Pani X zaś nie słyszała o mężu pani Y. I zwraca się do pani Y z zapytaniem, brzmiałem chociażby tak: „Jakże się pani bawiła na ostatniej herbatce, pani... pani... przepraszam, zdaje się — majorowo?“ Pani „kapitanowa“, nieco zażenowana, tłumaczy, że „jeszcze nie“. Na twarzy pani X wykwita uprzejmy uśmiech, a usta wypowiadają łaskawie zdanie, które stało się już takim szablonem, jak np. „wszystkiego najlepszego — zdrowia, szczęścia, pomyślności“ — przy wszelakich życzeniach i podobnie jak one, w miarę ochoty i fantazji przyozdabiane „warjacja“ na tenże temat: „Nie szkodzi, nie szkodzi — wszak prędzej czy później będzie się pani kapitanowej ten tytuł należał!“

Jeśli zaś pani X, myląc się, zdegradowuje panią Y — to uprzejmy uśmiech i słowa: „nie szkodzi...“ przyozdobią panią Y — zaś pani X będzie przygnębiona tą omyłką, usprawiedliwi się: „tysiącrotnie“ i „najmocniej“ przepraszać będzie.

A sedno obrazy tkwi właśnie w samym przepraszaniu, bo dlaczego p. Y „porucznikowa“ ma być czemś tak bardzo gorszym od pani Y „kapitanowej“?

A taki fakt, który się chyba bardzo wiele razy powtarzał: dwie koleżanki szkolne, dawniej przyjaciółki — spotykają się naraz w jednym garnizonie — jedna, jako żona wyższego, druga — niższego oficera. Pierwszy serdeczny odruch rzuci je sobie w objęcia.

Jeśli są obydwie dobre i mądre, to stosunki ich pozostaną takimi, jak były przed laty. Niestety! — w tych paru wypadkach, o których słyszałam, różnica rang ich mężów, często śmiesznie mała, rozdzieliła je, jak przepaść, na której dnie z czasem zagnieździła się niechęć — a ponad którą one przerzucały sobie grzecznie, a wyniośle, piłeczki tytułów — nieswoich.

Najgorętszym mojem pragnieniem jest, ażeby te słowa moje nie przebrzmiały bez echa.

Są pisane tak z głębi serca, że chciałabym, ażeby do serc trafiły. Może która z pań zechce mi odpo-

wiedzieć? Proszę o to bardzo i niecierpliwie przeglą-
dać będę „Naszą Mównicę”.

Marzę o tem, ażeby mój „głos z puszczy pole-
skiej” dotarł gdzieś wysoko — aż do jednej z tych
mądrych i energicznych niewiast z Zarządu Głównego — ażeby pomówiły o tem, odczuły i zrozumiały,
że ta napozór błahostka jest czemś, co niesłuchanie
szpeci, upokarza i ośmiesza nasze życie. I ażeby wy-
dały odezwę lub wezwanie — coś, co ukazałoby całą
niewłaściwość i szpetotę naszej tytułomanji — i co
dopomogłoby kobietom „dobrej woli” do walki z nią.

A wtedy — będzie się musiało zmienić!

M. B. — z Lubelskiego.

A ja chciałabym pomówić z Szanownemi Czytel-
niczkami „Bluszczu” — o rozwodach.

Od czasów Wielkiej Wojny rozwodzą się ludzie
tak, jak nigdy przedtem. Jak do tego powinna ustosunkować się kobieta dzisiejsza — zasadniczo? Czy
masowe rozwody są dla kobiet przywilejem, czy —
klęską?

Jeszcze w czasie wojny, w Wilnie, po usta-
pieniu bolszewików, znalazłam się w towarzystwie,
gdzie mówiono, cytując nazwiska, o autentycznym
fakcie: panna młoda, w kościele, idąc do ślubu, za-
pytała pana młodego, jak mu na imię. Nie wiedziała.
Przyjechał z frontu we wtorek, spotkali się we środę —
w niedzielę (dyspensa wojskowa) — ślub.

— Odważnie! westchnęłam — w trzy dni... na
całe życie!..

Zebrani parsknęli śmiechem, a ja pojęłam po
niewczasie, że oto dusza moja tym bardzo dzisiej-
szym panom, tym modnie ubranyim paniom ukazała
się w prababczynej krynolinie. Zawstydziałam się.

— Na całe życie?! — wołano koło mnie — Z któ-
rego księżyca pani się zjawiała? Tu chodzi o... tygodnie..
Okaże się, że dobrze im ze sobą, — to i dłużej —
a nie, — rozejdą się.

Omało nie wyrwało mi się: a dzieci?! — Ale się
powstrzymałam. Znowby mię zapytano, czy nie po-
chodzę już nie z czasów krynolin, tylko z epoki eks-
misji Adama z raju, kiedy zaraz po rozmowie z wę-
żem musiał pocać się Kain, najstarszy z setek dzie-
ci pani Ewy.

To są — żarty, ale żarty na serjo...

Coś się popsło w sakramencie małżeństwa.
Rozwody — to konsekwencja — to wskaźnik. Rozwo-
dzą się, bo z sakramentu małżeństwa wykruszył się
pierwiastek sacra... a pozostały męty...

Wtedy, kiedy idąc do ołtarza szli ludzie
z wiarą, że to „na całe życie” — na d łę i nie-
dole, — że zdarzyć się może zerwanie tego węzła
stuły — równoznaczne ze złamaniem życia — ale że
to z reguły jest niedopuszczalne, a sam związek dwoj-
ga nierozzerwalny, — inne było ustosunkowanie się
do sakramentu psychiki tak męskiej, jak niewieściej,
niż dziś — kiedy, pobierając się, związują się ludzie
przezornie „na pętelkę”, żeby to — w razie czego —
i rozwiązać było można — bez zachodu.

Nie twierdzę, żeby za dawnych, dobrych czasów
wszystko było dobrze. Kobieta, nasza pra-prababka
często „popelniała” małżeństwo, nie wiedząc co czy-
ni; — a jednak etyka współczesna skazywała ją na
tortury nieomal — z terminem: do końca życia. Pra-
pradziadek brał ślub z reguły aż zaradto uświado-
miony, z przeszłością, która nie była białą kartą, ra-
wzór sukienki panny młodej, a że „czem skorupka na-
siąknie za młodu, tem na starość trąci” — i z dotrzy-
maniem przysięg bywało rozmaicie, — ale i on —
mężczyzna — wierzył, że stosunek jego do niewiasty,
którą nazwał swą żoną, jest czemś jednak osobli-
wym, odrębnym i różnym od tego, co bywało przed-
tem, od tego — co się mogło przytrafić — potem.
Możliwość męczeństwa na całe życie dawała i w je-
go oczach „mężnej pani” aureolę nad głową — mał-
żeństwo było groźne, mocne i przez to ludziom święte.

Przytem nieozzerwalność jego uważano za przy-
wilej kobiety, tak, jak dziś się to obala, jako jej
krzywdę.

I dziś jeszcze taki np. Förster powiada: „Ostroż-
nie z miłosiernem wołaniem o zwolnienie tych wię-
zów w imię litości nad kobietą, nawet nad dzieckiem
(nieprawem)! Tam, gdzie niema męczenników, niema
świętości, niema wiary. Zostawmy tedy ofiary ich
losowi: niech giną dla idei, — bo gdy idea (nienaru-
szalność małżeństwa) runie — biada kobiecie — bia-
da dziecku”!

Niestety (a nawet nie wiem, czy: niestety?) na-
sza dzisiejsza psychika nie może tej teorii przyjąć.
Możemy — bojownicy idei — walczyć i ginąć — nie
możemy w imię idei zamęczać istoty ludzkiej.

Więc — rozwody?

Ja myślę, choć zaledwie śmiem powiedzieć: roz-
wód — to wrzód, który ropieje na niezdrowym or-
ganizmie — i musi pęknąć. Ale choroba jest głębiej.
Niechby ci, którzy są do tego powołani, zechcieli zba-
dać: co się zepsuło pomiędzy dzisiejszą psychiką
człowieka — a małżeństwem sakramentalnym i czy
tego nie dałoby się naprawić, bo tu jest źródło po-
ważnego niebezpieczeństwa.

Marja Kondyjowska-Odrowąż — powiat Kof- skie.

Gdy czytamy różnorodne artykuły w „Naszej
Mównicy”, rzuca nam się w oczy przede wszystkim
gorączkowa żądza czynu, daleko idący altruizm au-
torek i solidarne dążenie do realizacji wielu, wielu
planów. — Dziwnie! A jednak w tych małych, cie-
pło pisanych artykułkach wyczuwa się już siłę, która
zespala, siłę, którą jest ta właśnie solidarność — uczu-
cie jaknajbardziej właściwe gatunkowi ludzkiemu,
aczkolwiek tak bardzo zdeptane w obecnym życiu
świata. Interesując się „Naszą Mównicą”, mimowoli,
sugestywnie zrzeszamy się już, tworząc kadry ludzi
dobrej woli, którzy pójda za uczuciem, tą podstawo-
wą stroną naszej natury. Takie zrzeszenia czytelniczek
są zagranicą już dość częste. Czytelniczki skupiają

się świadomie dla zaspokajania wspólnych potrzeb.

Nasze życie społeczne jest widownią dużego rozwoju takich dobrowolnych zrzeszeń i świadczy o tym, iż samopomoc społeczna może brać najróżniejsze dziedziny życia w swoje ręce i prowadzić bez pomocy i kontroli państwa. Tu (biorę specjalnie pod uwagę wszelkie zrzeszenia kobiece) należy się przede wszystkim najwyższe uznanie kobiecie-polce, pełnej ofiarności i poświęceń, zaparcia się siebie, czerpiącej moc z nieznanych głębin ducha, tę moc o której mówi Kornel Makuszyński:

Kobieto polska! Takie w Tobie moce,
Co kłós z dzikiego ugoru wywioda,
Gwiazdy rozpała w ciemne, smutne noce,
A uschłe drzewo okryją jagoda...

Oto myśl wykorzystania tej mocy nasunął mi artykuł p. Stefanji Podhorskiej Okołów w Nrze 4-ym z 26.1 b. r. „Przystań desperatów”. — O, gdyby tak, miast myśleć o jakowejś przystani zbiorowej na jutro, pojutrze dla siebie, — pomyśleć o tych nieszczęsnych, którym los wymawia już dziś lokal istnienia? O tych, co może z karabinem w dłoni przyczynili się do umocnienia naszej wolnej Ojczyzny, a dziś, w tej samej Ojczyźnie, niema dla nich miejsca, ni chleba? O tych nieszczęsnych, co mogą być jeszcze chlubą społeczeństwa, a giną, bo niema komu wyrwać ich z udreki i samotnej rozpacz?

Nie wiem, jaka jest liczba Sz Czytelniczek „Bluszczu”, lecz wiem, że pismo to dociera do najbardziej zapadłych zakątków Rzeczypospolitej, jest więc poczytne i liczba nas, kobiet, musi być znaczna — A gdybyśmy tak my czytelniczki „Bluszczu”, opodatkowały się, przypuścmy, na 1 zł. miesięcznie (utworzyłyby to już pewną sumę) i założyły przy „Naszej Mównicy” „Naszą Przystań dla desperatów”? Pieniądze te możnaby łożyć na najpierwsze potrzeby takiej Instytucji. Nie wątpię zaś, iż Szan. inicjatorka tej „przystani”, P. Stefanja Podhorska-Okołów, przyjąłaby na siebie utworzenie tej instytucji; nie można, bowiem, ani chwili wątpić o tej, która na niedolę biednych, przegrzywających już stawkę życiową, patrzy przez pryzmat wielkiego ukochania ludzkości. — Instytucję tę możnaby tak zorganizować, iż my, czytelniczki na prowincji, składałybyśmy pieniądze, które, wpływając regularnie co miesiąc, dałyby możność zaspokojenia doraźnych potrzeb naszych desperatów. Sz. Czytelniczki w stolicy mogłyby, będąc na miejscu, badać bóle tych nieszczęsnych, moralnie ich krzepić. Mówiąc o pieniądzach, nie mam na myśli tego, aby „Przystań” przybrała charakter jałmużniczo-filantropijny.

Chodzi mi tylko o sumy, konieczne do poruszenia całej maszyneryj tej instytucji. Gdyby tak wówczas obok „Naszej Mównicy” można umieścić było parę ogłoszeń o znalezieniu pracy dla uratowanych, nie wątpię, iż na obszarze całej Rzeczypospolitej Polskiej udałoby się (zdaniem p. Stef. Podhorskiej-Okołów) wykopać choćby z pod ziemi

jakąś posadę, bo czułyby się do tego Szan. Czytelniczki moralnie zobowiązane. Wówczas to na różne koszty przejazdu i t. p. potrzebne byłyby pieniądze i można by je mieć ze składek. Ażeby zaś „Nasza przystań” nie była wyzyskiwana przez sprytnych symulantów — to zadanie musiałyby przyjąć na siebie p. Czytelniczki z Warszawy.

Uprzejmie proszę Sz. Czytelniczki o wypowiedzenie się w tej sprawie, bowiem nie sędzę, by między nami była choć jedna, któraby sprawę tak palącą i w tak zastraszający sposób gangrenującą poważny odsetek społeczeństwa — zlekceważyła!

P. Janina Z. — Środa.

Czytając pisma kobiece angielskie, natrafiłam w jednym z nich na bardzo ciekawy pomysł, który chcę podać do wiadomości czytelniczek. Otóż Międzynarodowa Liga praw wyborczych kobiet otworzyła w Paryżu, przy ulicy Chevreuse nr. 4, Międzynarodowe biuro bibliograficzne działalności kobiet. Znajduje się tam bibliografja wszystkich dziedzin pracy kobiet: społecznej, ekonomicznej i politycznej, oraz życiorysów i dokumentów, dotyczących poszczególnych wybitnych osobistości świata kobiecego.

Biuro wzywa wszystkich, mających jakiegokolwiek wiadomości, dokumenty, lub nawet wspomnienia osobiste z dawnych czasów w tych sprawach, o nadsyłanie ich do zarządu. Ta jedyna, doprawdy, w swoim rodzaju biblioteka bibliograficzna służyć będzie do użytku wszystkich, interesujących się rozwojem ruchu kobiecego.

Otóż przychodzi mi na myśl, że przede wszystkim trzeba dopilnować, aby znalazła się tam bibliografja i wszelkie dane o działalności kobiet polskich. Tem powinny zająć się nasze stowarzyszenia, te, które mają oficjalny kontakt z zagranicą. A poza tem trzeba stworzyć takie biuro krajowe u nas. Ileż to razy chcielibyśmy dowiedzieć się szczegółów o jakiejś wybitnej działaczce polskiej, albo o jakiejś sprawie, nie wiemy jednak, gdzie szukać traktującej o tem książki i czy wogóle książka taka wyszła z druku.

Ja, np., słyszałam coś o pierwszym zjeździe kobiecym w r. 1907 w Warszawie, chciałabym wiedzieć szczegóły—jak do nich dotrzeć? A takie biuro bibliograficzne dałoby od razu informacje.

Uważam, że zarówno dla Paryża, jak i dla nas, materiały możnaby zebrać z Wystawy Krajowej w Poznaniu, gdyż będzie rozporządzać niemi Sekcja umysłowej pracy kobiet. Stowarzyszenie kobiet z uniwersyteckiem wykształceniem byłoby również powołane do zorganizowania takiego biura w Polsce.

Na zakończenie, powracam do sprawy osobistej. Może która z Szan. Czytelniczek będzie mogła mi powiedzieć, gdzie znajdę dane, dotyczące pierwszego zjazdu kobiet polskich z r. 1907?

brze obserwować, musiały dojść do przekonania, że harmonja pozorna lub rzeczywista, to tak zwane przez ogół szczęście domowego ogniska, zbudowane zostało na gruzach zburzonego intelektu jednej strony, przyczem najczęściej bywa ofiarą kobieta. Ona to najczęściej wyzbywa się swego ja, wszelkich pragnień, dążeń i żądań, i wtedy jest dobrze!

A jeśli nie potrafi nagiąć się i zabić w sobie indywidualizmu, jeśli wyrwie się jej głos skargi lub buntu, wtedy cichy raj zamienia się w piekło. I tak będzie, dopóki nie wychowamy inaczej młodego pokolenia, dopóki mężczyzna nie nauczy się szanować pracy kobiecej, zarówno domowej, jak i zarobkowej i kobiecej indywidualności. Tymczasem nie pozostaje nic, prócz cierpliwości i wytrwania. W chwilach rozterki duchowej dobra książka może szarą rzeczywistość rozświetlić. Warto polecić „Świat Kobiecy“ Grossek-Koryckiej. Nikt jeszcze dotychczas tak subtelnie i głęboko nie zanalizował duszy i doli kobiecej, jak ta nieodżałowana, wielka autorka.

**P. Zofja Persowska—Bytoń n. Szczarą—pow.
Słoniem w odpowiedzi p. W. Tropaczyńskiej.**

Z radosnem zaciekawieniem odczytuję listy umieszczane w „Naszej Mównicy“ i zdaje mi się, że to jest najlepsza droga do poznania się wzajemnego, z którego tak łatwo wywiąże się przyjaźń tak, że stać się będziemy mogły jakby jedną, wielką rodziną, związaną sympatją i zainteresowaniem wzajemnem. Więć poznajmy się — i to poznajmy prawdziwie — w najtajniejszych drgnieniach jaźni — w skrytej przed samą sobą tęsknocie, w radości i smutku, w triumfie i doświadczeniach bolesnych, z których składa się życie każdej kobiety, choćby była najbardziej współcześnie samodzielna!!

A poznanie to gdy uczyni bliskimi dusze, zjednoczy i serca.

Wówczas trwałą i mocną stanie się federacja związków kobiet samotnie pracujących, o której pisze p. Tropaczyńska, i wówczas kobiety znajdą w takim zrzeszeniu nie tylko ochronę, nie tylko zachętę i pomoc — ale i „ognisko siostrzanego ciepła i zrozumienia“.

Jednak — według mnie — nastąpi to tylko wtedy, gdy kamieniem węgielnym zrzeszenia będzie serce, to serce, które w każdej piersi kobiecej żyje, niezależnie od tego, czy to jest „samotna“, czy żona i matka.

I mam wrażenie, że nie pierścień ślubny, nawet nie posiadanie dzieci, zdejmuje z kobiety piętno samotności, ale miłość. Tak, nie waham się przed umieszczeniem tego wyrazu, dzisiaj niestety niemiłosiernie nadużywanego. Mam na myśli tę ogromną, dla której jeżeli istnieje więcej osobisty początek, niema kresu — gdyż altruistycznie obejmując wszystko i wszystkich — wszędzie rozpozna i uszanuje człowieka.

Nie jest to utopją — czemś przechodzącą siły ludzkie, siły kobiece — wszak wiemy i tylekroć stwierdziło to życie, że „człowiek, któryby posiadał największy genjusz bez odrobiny miłości bliźniego — byłby bardziej samotny, niż błędzący w przestrzeni meteor“. Jeżeli i sława nie potrafi zapełnić pustki serca, jakże potrzebne jest owo uczucie nam zwyczajnym, przeciętnym kobietom! nam, którym kaśliwe przypominki-plotki, niezrozumienie, tak bardzo psują życie! A przyczyną tego najczęściej — miejmy odwagę się przyznać — my same, te, którym się zawierzyło, którym w chwili depresji czy przez poryw ufnej szczerości otworzyło się duszę, no — bo jakżeżby inaczej być mogło — gdy się wspólnie pracuje i — często nawet — razem mieszka!

Sama byłam świadkiem takich jadowitych uwag, pełnych ubolewającego wyrozumienia, jakie najserdeczniejsza — według opinii publicznej — przyjaciółka wygłaszała o swej współlokatorce i koleżance w zawodzie, dominując nad nią niby trzeźwością poglądów i sądu!

Tak postępują często kobiety z pewnem wykształceniem i mające pretensję do inteligencji, bo zawiść zatruwa duszę kobiecą!

Ale jak w takich warunkach myśleć o zrzeszeniu się?! I czy będzie ono istotnie serdeczne, szczere, trwałe, wartościowe?!

Zdaje mi się, że tylko dusze, moralnie wolne, przenikające się wzajem intuicyjnie i intelektualnie promieniejące zdolne byłyby do takiego, siostrzanego współdziałania. Rozumiejąc dobrze, iż to może moje tylko danej kwestji ujęcie, daleka również od chęci narzucania komuś swego zdania, cieszyłabym się bardzo, gdyby któraś z pań, więcej doświadczona, zechciała wypowiedzieć się w tej kwestji. Wszeczhronne i krytyczne spojrzenie w głąb czynu czy działania, prosto z życia ujętego w słowa, pozwoli objąć całość sprawy, wskaże drogi, najlepiej i najpewniej wiodące do celu. A czyż nie warto się potrudzić w walce o własne dobro, o prawo do szczęścia serca dziś jeszcze „samotnego“, rzuconego na pastwę bezmiejnych, jałowych tęsknot?

Pomóżcie siostry! niech skończy się raz niedola!... Niech wspólna refleksja i głos jej tętniący miłością obudzi słabe i senne i zjednoczy w pracy dla wspólnego dobra.

DO CZYTELNICZEK

Szanowne Czytelniczki, przysyłające listy do „Mównicy“, prosimy, aby zechciały pisać je tylko na jednej stronie arkusza, jest to bowiem konieczne przy drukowaniu rękopisów. Prosimy również o pismo jak najwyraźniejsze i z niezbyt wąskimi odstępami między jednym a drugim wierszem. Tekst, w którym wiersze wchodzi prawie na siebie, jak się to często zdarza, zwłaszcza przy „modnem“ wysokiem piśmie, jest ogromnem utrudnieniem dla cecera. Należy również zostawiać niewielki choć margines, aby w razie potrzeby jakiejś drobnej, stylistycznej poprawki, było gdzie ją zmieścić. Redakcja